

arena 9

Pismo Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich
Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów

Eliza Danilczuk | Izabela Monika Bill

Ewa Michałowska-Walkiewicz | Henryk Musa

Janusz Piotr Kowalkowski | Bolesław Bieniasz

Halina Godecka | Wiesława Siemaszko-Zielińska

Agnieszka Zięba-Dąbrowska | Gitta Rutledge

Krystyna Potocka-Wolak

Gościnnie

Z „Saloniku Literackiego. Pociąg do pióra”

Eliza

Danilczuk

Polska

Pasożyci

Wiedzą kiedy się nie angażować
Udać, że są niepotrzebni
Wygłaszać swoje widzimisie
I ranić, ranić, ranić.
Przybywają, gdy nikt ich nie oczekuje
I wpijają się mackami pożądania w serce
 jadem zatruwając mózg i wolę
Pasożyci czekają na swoje role
I dają to, co jest bezwartościowe.
Pasożyci swoimi mackami
Żywiciela trzymają w potrzasku
Ssą talent, pieniądze, czas
Wstrzykując swój jad uzależniają
Black – czarny, ponury
Diaboliczny
A drugi w kręconych, siwych włosach
Niegodziwy i głupi.
Gdyby nie spotkała ich na swojej drodze,
Jej serce nadal by biło.
Strzeżmy siebie i unikajmy pasożytów

(z. 78, s. 7)

Izabela Monika

Bill

Polska

Giulietta i Alfa Romeo

samotny i przystojny Alfa Romeo
zauważył ją
na balkonie parkingu
podziwiała panoramę miasta
zalotnie mrugała rzęsami wycieraczek
pokazywała zadbane dłonie opon
z modnymi rowkami na paznokciach
na sezon zimowy
błyszczące kolczyki bocznych lusterek
pod maską spódniczki
czuły flirt odsłonił
łono silnika 1.4 Turbo MultiAir
czysty wlew oleju
zbiorniczki płynu spryskiwaczy
poziom płynu chłodzącego był już niski
układ smarowania nie miał zahamowań
Giulietta płonęła w wargach jego zderzaka
wieczór miał zapach spalonego paliwa

(z. 78, s. 10)



Koleżanki i Koledzy!

Wrześniowa pogoda sprzyja spacerom i wycieczkom, podczas których możemy nacieszyć oczy widokiem różnobarwnych drzew, babiego lata i odlatujących ptaków. Robi się sennie i kolorowo, a ja zaczęłam mieć dylemat. Czy na emeryturze wypada mieć dziurę w spodniach na kolanie. Konkretnie w džinsach? Co mnie „naszło”?

Kilka dni temu wyczytałam w jakimś korowym piśmie, że z prognoz Banku Światowego wynika, że w 2050 roku średnia życia wyniesie 120 lat! Na razie najdłużej żyją Japończycy, średnio 85 lat. Długowieczni są też Australijczycy, przeżywający średnio po 84 lata. W Europie najpóźniej umierają Islandczycy, Szwajcarzy, Włosi, żyjąc po 83 lata. Polacy żyją średnio 77 lat, a Rosjanie nie przekraczają siedemdziesiątki. W XX wieku dzięki postępowi medycyny przedłużyliśmy nasze życie o 30 lat, a w XXI przedłużymy je o kolejne 6. W krajach wysoko rozwiniętych liczba stulatków wzrasta o 5,5% rocznie, co oznacza, że w ciągu ostatnich 13 lat ich liczba się podwoiła. Jeżeli tak się dzieje, to znaczy, że zmienia się jeśli nie wszystko, to na pewno w bardzo wielkim stopniu nasze nawyki, aktywność, sposób myślenia, odpoczynek, zdrowie. Jesteśmy dłużej młodzi duchowo. Od nas zależy, jak będziemy sprawni, a styl naszego ubioru staje się efektem naszego samopoczucia, czyli daleko odbiegający od kanonów naszych babć, a nawet mam. Myślę, że w tej sytuacji dziura na kolanie może zostać.

No i cały wrześniowy nastrój sprzyjający marzeniom prysł, ale w obliczu takich długowiecznych perspektyw żywotności jak tu siedzieć?

Nie da się, co udowodniła nasza koleżanka Lucynka Krupo-Szado, biorąc udział i finiszując w Biegu Spartańskim w Krynicy 2017. Podziwiam osobiście Lucynkę, bo wiem, że wytrwale przygotowywała się do tego biegu przez rok. Bolesław Bieniasz przypomina postać Eugenii Umińskiej skrzypaczki, pedagoga w Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie i swoje wspomnienia z dzieciństwa. O Ignacym Skowronie, bohaterze z Westerplatte wspomina w jednym ze swoich artykułów Ewa Walkiewicz, a Kaszub Henio Musa napisał relację z Papieskiego Festiwalu spod samiutkich Tatr. Artykuły przeplatamy wierszami naszych poetów. Zamieszczamy między innymi najświeższy wiersz Gitty Rutledge, *Jedyny przyjaciel*, i życzymy jej dużo, dużo zdrowia!

Zachęcam wszystkich do zapoznania się z całością naszych artykułów i poezji zawartych w najnowszym numerze „Areny”. W tym roku Walne Zgromadzenie tak zaplanowaliśmy, by podróż zabytkowym pociągiem z Nowego Sącza i udział w Jarmarku w Muszynie stał się naszym udziałem.

Nie ukrywam, liczymy, że w kolejnym numerze „Areny” pojawi się trochę opisów krajobrazu czy wrażeń lub wierszy inspirowanych niepowtarzalnym krajobrazem Małopolski i podróżą zabytkowym pociągiem.

Halina Godecka
Prezes Zarządu Stowarzyszenia

Obrońca Westerplatte
Ignacy Skowron
Ewa **Michałowska-Walkiewicz**
5

Spartan Race
Pokonać siebie
6

**XVII Festiwal Papieski
w Białym Dunajcu**
Henryk **Musa**
8

Wiersze
**Janusz Piotr
Kowalkowski**
9

**Eugenia Umińska
1910–1980**
Wspomnienie
Bolesław **Bieniasz**
10

Halina Godecka
Stańczyków nie błaznów
nam trzeba
12

Bolesław Bieniasz
W ciszy pokoiku starego miasta
moje pierwsze lekcje muzyki
14

Wiersze
**Wiestawa
Siemaszko-Zielińska**
16

Halina Godecka
O SZTUCE odbioru SZTUKI
17

Agnieszka Zięba-Dąbrowska
Alpejska Pani
19

Henryk Musa
Wierzba
21

Agnieszka Zięba-Dąbrowska
Spotkanie w Casino de Paris
22

Wiersze
Gitta Rutledge
25

Henryk Musa
Miasto me – Miasto moi
26

Kącik turystyczny
Pałac w Mosznej
Krystyna **Potocka-Wolak**
27

Obyś cudze dzieci uczył...
i nie pękł ze śmiechu
29

Sprostowanie

W poprzednim numerze „Areny” omyłkowo przypisano autorstwo wiersza p. Bolesława Bieniasza *Artysta* innej osobie. Za ten przykry incydent serdecznie przepraszamy Autora i Czytelników naszego pisma.



Międzynarodowe Stowarzyszenie
Polskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów
z Siedzibą w Malme
arena

redakcjaarena@malme.eu

www.malme.eu

Redaktor naczelna
Halina Godecka

Zespół redakcyjny
Członkowie Stowarzyszenia

Opracowanie graficzne
Anna Ula Piłśniak

© MSPDPiA, 2017

Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i poprawek w publikowanych tekstach, a także do selekcji i uzupełnień materiału ilustracyjnego. Nadsyłane fotografie, rysunki itp. w skali 1:1 powinny mieć rozdzielczość minimum 300 dpi.

Obrońca Westerplatte Ignacy Skowron



Ewa Michałowska-Walkiewicz

Polska

Polskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało wieczerek wspomnień, na którym między innymi przypomniano osobę Ignacego Skowrona, bohatera walk z regionu świętokrzyskiego. Ignacy Skowron urodził się 24 lipca 1915 roku w świętokrzyskich Osinach. Zmarł 5 sierpnia 2012 roku w Sitkówce. Major Wojska Polskiego, odznaczony orderem Virtuti Militari.

Rodzina

Syn Jana i Klary z Rudników, miał dwóch braci i siostrę. Skończył jedynie trzy oddziały szkoły powszechnej w pobliskiej Pierzchnicy. Przed powołaniem do wojska pracował w gospodarstwach rolnych, a od 1936 roku w młynie „Kłos” koło Kadzielni. Służbę wojskową odbywał w latach 1938–1939 w 4. Pułku Piechoty Legionowej w Kielcach. We wrześniu 1938 roku oddelegowany został do szkoły podoficerskiej na Bukówce. Stamtąd przybył 31 marca 1939 roku jako starszy legionista na Westerplatte. W maju 1939 roku został awansowany do stopnia kaprała.



Wybuch wojny

W czasie obrony Westerplatte walczył w wartowni nr 2. Po kapitulacji, 7 września 1939 roku, x wraz z całym oddziałem trafił do niewoli. Z niewoli jenieckiej ze Stalagu IA w Królewcu został zwolniony 5 listopada 1940 roku.

Zamieszkał wraz z żoną i dzieckiem w Radkowicach koło Chęcín. Pracował w gospodarstwie teściów. Rok później podjął pracę w kolejnictwie jako robotnik fizyczny.

Konspiracja

Rozpoczął jednocześnie działalność konspiracyjną, najpierw w Związku Walki

Zbrojnej, a następnie w Armii Krajowej. Do jego zadań należało informowanie o transportach niemieckich i przemieszczaniu się wojska niemieckiego.

Lata powojenne

Po wojnie Ignacy Skowron zamieszkał w Nidzie. Zmarł w wieku 97 lat. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 8 sierpnia 2012 roku w kościele parafialnym w Brzezinach.

Uczestnicy wieczorku wspomnień zorganizowanego przez Polskie Towarzystwo Historyczne minutą ciszy uczcili narodowego bohatera.

Spartan Race

Pokonać siebie

Spartan Race to bieg z serią przeszkód na różnym dystansie i o różnym stopniu trudności. Stworzony został w piaszczystych i zielonych górach Vermont przez Joe De Senę, światowej klasy zawodnika biegów „przygodowych”.

Pierwszy wyścig Spartan Race odbył się w 2010 roku w Catamount Outdoor Center w Williston w Vermont. Obecnie wyścigi te są prowadzone poza Ameryką

Północną w wielu innych krajach, Europy, w Australii, Kanady i Korei Południowej.

Jest kilka rodzajów tego biegu, które różnią się dystansem, liczbą przeszkód

i trudnością. Podstawą jest bieg na trzech dystansach. Dystans Spartan SPRINT (5+ kilometrów, 20+ przeszkód), Spartan SUPER (13+ kilometrów, 25+ przeszkód)

SPRINT - KRYNICA-ZDRÓJ



The image shows an aerial view of the Spartan Race SPRINT course in Krynica-Zdrój. The course is marked with a red line and numbered obstacles from 1 to 20. Two water stations are indicated with blue water drop icons. A 4 KM distance marker is shown at the start. A small elevation profile graph is visible in the top right corner of the map area. The Spartan Race logo is in the top right corner.

1. OUT	5. Ballance	9. Slip wall	13. Barbedwire crawl low	17. Sandbags
2. 5ft. Wall	6. O-U-O-U-O	10. Invert wall	14. Rope Climb	18. Multiring
3. Rolling mud	7. Monkey bar A	11. 7ft. Wall	15. Hercules Hoist	19. 8ft. Wall
4. Streaming	8. Tunel	12. Spearthrow	16. Plate drag	20. A-cargo

DIRECTION ➡ **TRACK** — **OBSTACLE** ● **WATER STATION** 💧

i Spartan BEAST (20+ kilometrów, 30+ przeszkód). Trasa każdego dystansu usiana jest wspomnianymi przeszkodami, które trzeba pokonać: błotem, drutem kolczastym, ścianami wspinaczkowymi, linami i polami ognia. Jeśli uczestnik pokona wszystkie trzy dystanse, zdobywa medal zwany TRIFECTA.

Pod koniec lipca Spartan Race zawiązał do Krynicy Zdroju, jako „Spartan Race Krynica Zdrój 2017”. Krynica Zdrój nieprzypadkowo jest nazywana królową południa. To jedno z najstarszych i najpiękniejszych uzdrowisk o bogatej historii, które swoją popularność zawdzięcza odkrytym tu surowcom naturalnym – wodom leczniczym, które rozśławiły Krynice już na początku XVIII wieku. Jest także najwyższym położonym uzdrowiskiem w Polsce, 560–600 metrów n.m.p., w zachodniej części gór Karpat.

W biegu, w kategorii SPRINT „Spartan Race Krynica Zdrój 2017”, na dystansie 8 kilometrów z 20 przeszkodami, wzięła udział nasza koleżanka Lucyna Krupa-Szado, która podzieliła się swoimi wrażeniami:

– Do Krynicy przyjechałam dzień przed wyścigiem. Miasto tętniło życiem: kuracjusze, turyści, dzieci młodzież, koncerty pod pijalnią, „tańczące fontanny” w centrum, koncert jazzowy na scenie przy deptaku i gdzie nie spojrzalam znaczek „Spartan”. Atmosfera wakacyjna, a pod Jaworzyną (1114 metrów n.p.m), na miejscu startu – pełna sportowej rywalizacji, ale też uznania dla zawodników, szacunku i przyjaźni. Od soboty trwały biegi dla bardziej wprawnych. Miałam ogromną treść, nie wiedziałam, co na mnie czeka w lesie na Jaworzynie.

I chyba dobrze. Najpierw był bieg stromo w górę, potem w dół, przeszkoda parkan do przeskoczenia i dołek z wodą. Następnie ślizgiem przez błoto i bieg przez potok. Woda po kostki, a miejscami do pasa. Myślałam wówczas, że to się nigdy nie skończy. Niestety skończyło się i pojawiły się nowe, jeszcze trudniejsze przeszkody, takie jak wysokie parkany do pokonania z liną i bez liny. Potem znowu bieg po górę, rzut oszczepem,



Lucyna Krupa-Szado

turlanie się pod drutem kolczastym i bieg pod górę.

Na trasie spotykałam samych sympatycznych ludzi, na przykład z Zawiercia, Łodzi, Warszawy oraz ze Słowacji i z Węgier. Po dwóch godzinach wydawało się, że już jesteśmy niedaleko mety. Słysząc było gdzieś w pobliżu muzykę z głośników, ale niestety przede mną przeszkoda: worek z piaskiem na plecach i do góry, a szczytu, nie widać. To było trudne zadanie, ale przede wszystkim wyczerpujące i nogi nie chciały już się ruszać. No cóż, nie było wyjścia, nogi

musiały mnie słuchać i prowadzić pod górę. Potem tylko jeszcze trzy przeszkody, bieg w dół i finisz.

Jestem na mecie! Zawodniczka z numerem 17 322, czyli ja, ukończyła bieg w czasie 3 godzin 7 sekund. Niesamowite uczucie, POKONAŁAM SAMĄ SIEBIE. Poprzedniego dnia kibicowałam zawodnikom podczas biegów na innych dystansach i każdemu zazdrościłam momentu, gdy przekraczał metę, a teraz ja byłam w tym miejscu.

UDAŁO MI SIĘ, OD DZIŚ NIC NIE BĘDZIE JUŻ DLA MNIE TAKIE SAMO!

Miałam oczywiście chwile słabości fizycznej. Bolały mnie nogi, miałam problem z oddechem. Najbardziej bałam się jednak, gdy pojawiły się mroczki przed oczami, które na szczęście minęły.

Zadałam sobie pytanie: czy będę jeszcze starować? Na pewno! Muszę przecież poprawić czas i zaliczyć kilka przeszkód, których nie zdobyłam. Rozumiem teraz dobrze stwierdzenie, że „Spartan Race to stan umysłu”, że Spartanin jest wytrwały, twardy, elastyczny, żarliwy i pokonuje przeszkody! Zdecydowanie za rok znowu wezmę udział w kolejnym „Spartan Race”.

TAK, WRACAM TAM ZA ROK!

(red.)



XVII Festiwal Papieski w Białym Dunajcu



Henryk Musa

Polska

*Członkom Jury Festiwalu Papieskiego
w Białym Dunajcu*

Pierwszy raz do Białego Dunajca trafiłem w 2009 roku i od razu do pracy... w jury XIV Festiwalu Papieskiego. Festiwal wtedy odbywał się w sali Domu Kultury w Białym Dunajcu. W tym roku

Uroczysta atmosfera, uroczyste otwarcie z udziałem oficjeli. Jury – Góralki, Górale i – jeden tylko Kaszub. Jarek Błazusiak – twórca portalu LAUDATE.pl, patron medialny Festiwalu. Po wstępnych uroczystościach przekazałem *Pana Tadeusza* po kaszubsku do Biblioteki Publicznej na ręce p. kierownik – Józefy Kolbreckiej. Taki sam egzemplarz



ponownie tam trafiłem. Tym razem Festiwal odbywał się w auli Zespołu Szkół im. Kazimierza Wielkiego. Jury to samo, dołączył jedynie wójt gminy.

otrzymał również Jarek Błazusiak, mój dobry duch w górach, który spowodował, że znalazłem się w jury. Wójt otrzymał wydanie II moich *Muszelek pamięci*

oraz *Odę do młodości* i *Sonety krymskie*, wszystko w języku kaszubskim. Księdzu z pobliskiej parafii wręczyłem *Muszelki pamięci*.

Tu mała refleksja. Gdy byliśmy na mszy świętej, któraś Góralka zapytała mnie: „Co to za Matka Boska jest na ołtarzu?”. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem: nie wiem. Wtedy przypomniałem sobie, że w mojej książce opisałem Matkę Boską Królową Rybaków ze Swarzewa. I Jan Paweł II czcił Maryję zgodnie ze swym zawołaniem „totus Tuus” – „cały Twój”. Tą refleksją podzieliłem z Góralką i księdzem, któremu wręczyłem *Muszelki pamięci*.

Po uroczystym wstępie – jury zabiera się do pracy. Dla mnie „cepra” już za samo wejście w stroju góralskim zespołu czy wykonawcy przyznawałem 5 punktów. Tematem przewodnim Festiwalu było hasło „Papież – człowiek modlitwy”, ale nie zawsze zespoły czy wykonawcy trzymali się tego motta. Uważam, że czcimy Boga nie tylko modlitwą, ale też muzyką, śpiewem i słowem. A nasz Papież – Papież nie tylko Górali, bowiem spośród nich wyszedł, ale Papież naprawdę wszystkich Polaków – swoją dobrocią, umiłowaniem Maryi, Człowieka, pielgrzymkami do Polski zaskarbił sobie wiele miłości, szacunku w sercach Polaków.

Dlatego w obrazach, gestach, słowach był duch Papieża z nami. Tą miłość do Papieża widziałem w dziecięcych sercach i oczach, które z zaangażowaniem deklamowały, śpiewały chwałę Papieżowi – Wielkiemu Człowiekowi serca i miłości.

Sam byłem bardzo wzruszony słuchając pieśni chóru Schola *Do sosny polskiej* (błędnie przypisywanego Janowi Pawłowi II), co wycisnęło niejedną łzę w oczach nie tylko jury. Chór Schola również pozostawił niezatarte wrażenie swym występem.

Powróciłem do swych Kaszub przepełniony wewnętrznym przekonaniem, iż postawa Jana Pawła II, Naszego Papieża, pełna dobroci i modlitwy – będzie dalej umacniać się w naszych sercach. A iskry dobra i miłości ogranały cały świat.



Janusz Piotr

Kowalkowski

Polska

drzwi wyrzuciły ciebie za próg
niepotrzebną szmatę
zabawkę nocnych igraszek
dzisiaj dostrzegasz swoją niedokształconą ambicję
która jako pierwsza zadała pytanie
co dalej?
z ostatnim dzwonkiem gimnazjum zdziwaczał twój intelekt
opluty, wykorzystany do granic
na początku pełnoletności...

skalany nie swoim złem jestem jaki jestem
namaszczonej przynależnością
odpowiedzialnością wyznawania narzuconej miłości
w której brakuje mnie jako łącznika tworzącego relację
pomiędzy
ludzkimi słabościami a niebem
jestem jaki jestem
nie dobry nie zły
w całościście ulepiony do kosztowania świadomości dobra
które ukorzone w swoim wyznawaniu nie chcę niczego
ulepszać
dlatego zmieniam siebie
dla odróżnienia ideału przekształcania dobra...

nie potrzebuję uschniętych liści
twojej litości z wczoraj
wyschniętej kropli rosy
zerwanych kwiatów na pożegnanie
niepowtórzonego echa
nie potrzebuję zapachu włosów
dotyku aksamitnych dłoni
twojej uciążliwości
zachłanności i odrzucania
jeśli będę odczuwał tęsknotę
nie chcąc wracać do wspomnień
chcę by spłonęły wiersze
te które pisałem dla ciebie...

Manifest
urodźmy słowa bolesne i wulgarne
odetnijmy kurtynę zakłamania
skoro jeszcze nie wolno nam do niej strzelać
niech ci drudzy wiedzą
naszą siłą jest pisanie
...przyszło nam żyć w kraju nad Wisłą...
gdzie z pod głowy zmarłego wyszarpuje się ciepłą poduszkę
okrucieństwem chleba dzielą się bogacze w schronisku brata

Alberta

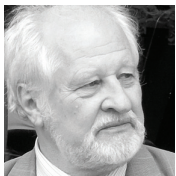
słowem Bóg na pokaz chełbią się oszuści
w Sejmie ukrzyżowali Chrystusa po raz drugi
ci drudzy przemawiają na rynkach w jego imieniu
przyodziani w szaty do ziemi
gwałcą córki i żony kiedy uśpione oczy nie widzą
wszystko w imieniu demokracji
urodźmy słowa bolesne
by nas samych bolały
napiszmy od nowa dekalog i psalmy by nie okłamywały
a przed tym powieśmy codzienność
wyuzdaną chciwość wszystkiego
by jeszcze raz przyjąć chrzest od dobroci
móc nazwać się człowiekiem...

chodzisz za mną od chwili gdy jeszcze mnie nie było
pod postacią cienia
czasu
straconych chwil bez możliwości rekamacji
nazywałeś siebie jedyną prawdą
przeznaczeniem
od którego nie ma ucieczki
sycisz się słabościami
zmarszczkami
drżącą ręką rozlewającą herbatę
okrzyknęliśmy ciebie
Bogiem i Diabłem po równi
w zależności dokąd dojdziemy
by tam poznać swoje przeznaczenie...

Eugenia Umińska

1910–1980

Wspomnienie



Bolesław Bieniasz

Belgia

W latach moich studiów, a także później, kiedy zacząłem pracować jako asystent i adiunkt, Eugenia Umińska, profesor skrzypiec i kierownik Katedry Wiolinstyki przy Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, była moim bezpośrednim przełożonym. Cieszyła się wielkim autorytetem. Prowadziła działalność pedagogiczną i koncertową. Łączyły ją więzy przyjaźni z wieloma wybitnymi wykonawcami i kompozytorami. Często, wiedzona swą energią i przysłowio- wym temperamentem, przystępowała do „szturmu”. Jedną z jej kampanii dotyczyła zdobycia nowego budynku dla Uczelni.

Wspomnienia moje oznaczone są piętnem żywej atmosfery. O Eugenii Umińskiej, mimo jej osiągnięć, tytułów i licznych powiązań z elitą środowiska muzycznego, nie potrafiłbym pisać w sposób encyklopedyczny. Była artystką i pozostawiła w mojej pamięci obraz sylwetki artysty.

Mając cztery lata usłyszałem jej recital w sali Florianki, auli PWSM. Byłem wprost zafascynowany. Wówczas zobaczyłem skrzypce po raz pierwszy. Wcześniej znałem ich dźwięk jedynie z audycji radiowych. Wrażenie koncertu wzmocnił jeszcze inny element. Artystka, ubrana w piękną złocistą suknię, prezentowała

się jak księżna. W młodości regularnie uczęszczałem na jej występy, na których wykonywała utwory należące do wielkiego repertuaru koncertowego, by tylko wymienić obydwa *Koncerty* Szymanowskiego, *Symfonię hiszpańską* Edouarda Lalo, rzadko ukazujący się w programach symfonicznych *Koncert Es-dur* uchodzący za dzieło Mozarta (jako koncert nr 6 – KV 268), a także „nowości”, m.in. *Sonatę na skrzypce i orkiestrę* Michała Spisaka, polskiego twórcy mieszkającego w Paryżu, dwukrotnego laureata pierwszej nagrody na sesji kompozycji muzycznej Międzynarodowego Konkursu im. Królowej Elżbiety Belgijskiej (1953 i 1957). Przez kilka lat Umińska prowadziła również Krakowski Kwartet Smyczkowy. Po występach z orkiestrą, obok utworów solowych Bacha i Telemanna, często grywała na bis *Kaprys polski* i *II Kaprys* Grażyny Bacewicz. Jej interpretacje odznaczały się szerokim dźwiękiem, wyrazistą artykulacją i muzycznym temperamentem. Według relacji prof. Jana Hoffmana, w okresie przedwojennym Eugenia Umińska grała po prostu znakomicie. Występowała wówczas w całej Europie.

Kiedy usłyszałem *Kaprysy* Grażyny Bacewicz byłem licealistą. Porwał

mnie do tego stopnia, że sam zacząłem je grywać. *Kaprys polski* stał się moim rekordem i – o ile wolno mi o tym wspomnieć – wykonałem go publicznie około 200 razy. Piszę o tym z nieukrywaną dumą, tym większą, że nikt mi tej kompozycji nie narzucił, nie odkryłem jej, przeglądając stopy nut w księgarni, lecz wsłuchując się w nią w ogniu atmosfery koncertu, kiedy oklaskująca publiczność oczekuje z zapatym tchem bisu, tego małego dodatku podarowanego przez solistę.

W związku z wyżej wymienionymi nazwiskami polskich twórców warto by było przypomnieć pewien znamieny fakt. W latach 60., w ramach festiwalu organowego, Kraków gościł Jean Guillou, wybitnego francuskiego wirtuoza. Występ tego artysty różnił się od pozostałych koncertów festiwalowych m.in. tym, że ostatnią pozycją jego programu miała być improwizacja organowa na zadany temat. Po wykonaniu utworu poprzedzającego improwizację prezes festiwalu zwrócił się do publiczności z prośbą o napisanie na rozdawanych kartkach papieru nutowego jakiegoś charakterystycznego motywu. Wśród zebranych nie brakło wielu muzyków. Propozycje w liczbie około pięciu–siedmiu zostały przedstawione koncertantowi siedzącemu przed instrumentem. Guillou długo wpatrywał się w każdą kartkę, by wybrać tekst najbardziej mu odpowiadający. Zagrał go jeden raz celem demonstracji, po czym powtórnie – już jako temat do improwizacji, która okazała się prawdziwym majstersztykiem. Improwizował na temat zaproponowany przez Umińską. Twórcą tematu okazał się Michał Spisak.

Po zakończeniu moich studiów w Brukseli, co zbiegło się ze śmiercią prof. Zenona Felińskiego – mojego mentora – zostałem jej asystentem. Poza indywidualnymi zajęciami ze studentami przysłuchiwałem się lekcjom prowadzonym przez Umińską. Często towarzyszyła swoim uczniom na fortepianie, sugerując im właściwe tempo i charakter interpretacji. W przypadku utworów solowych Bacha dodany przez nią akompaniament

miał na celu wzmocnić ich słuch harmoniczny i tym samym pomóc im w „kierowaniu” utworem przy późniejszym wykonaniu. Jeżeli uczeń grał w sposób mechaniczny, nie potrafił ożywić frazy i niczego poprzez nią wyrazić, sugerowała mu następującą strategię: należało podłożyć słowa pod rytm i melodię frazy – podobnie jak w pieśni, gdzie obydwa elementy pozostają spojone w sposób organiczny. W większości przypadków po tego rodzaju eksperymencie uczeń pozbywał się oporów i gra jego stawała się od razu komunikatywna*.

Miałem niebywale szczęście korzystać z jej uwag dotyczących szczególnie *Sonaty op. 9* Szymanowskiego, którą w latach 30. wykonała z samym kompozytorem podczas jego – jak się okazało – ostatniego występu radiofonicznego. Także z uwag krytycznych dotyczących *Tria fortepianowego* Artura Malawskiego, niegdyś kreowanego przez nią samą z dwoma znamienitymi partnerami, a przygotowywanego z moimi kolegami do wykonania na Festiwalu Wyższych Szkół Muzycznych w Poznaniu. Tenże sam Malawski poświęcił jej swą słynną *Burleskę*. Po przedwczesnej śmierci kompozytora dokonała wszelkich starań, by Polskie Wydawnictwo Muzyczne opublikowało jego *Andante i Allegro*, pozostające w rękopisie. Według jej słów niewydane drukiem utwory ulegają niekiedy zagubieniu lub po prostu zniszczeniu. Dzięki Umińskiej poznałem się w Brukseli z Tadeuszem Geislerem-Wyganowskim, polskim skrzypkiem, kompozytorem i lutnikiem, innowatorem podstawka do skrzypiec.

Umińska studiowała w Warszawie u Józefa Jarzębskiego, później u Otakara Ševčika, słynnego czeskiego pedagoga. Następnie kształciła się w Paryżu, pod kierownictwem George Enescu, rumuńskiego skrzypka, jednego z najwybitniejszych wirtuozów początku XX w., któremu Eugène Ysaÿe poświęcił swą *Sonatę-Balladę*. Enescu, muzyk wszechstronny, był także pianistą, dyrygentem i doskonałym kompozytorem. W tym samym czasie uczył się u niego Yehudi Menuhin, na którego lekcje nikt nie

bywał dopuszczany. Enescu dokonał jednak wyjątku, dzięki czemu Eugenia Umińska „ukryta” w sąsiednim pokoju mogła poprzez uchylone drzwi przysłuchiwać się pracy pedagoga z cudownym dzieckiem. Według jej relacji młody Menuhin odznaczał się niezwykłą wrażliwością i grał w zadziwiający sposób. Nieodgadnięty duch symbiozy łączył go ze swym mistrzem. Na tym miejscu warto wspomnieć o innym fakcie. W 1932 roku szesnastoletni Menuhin dokonał nagrania *Koncertu skrzypcowego nr 7 KV 271 a / 271* i Mozarta, z kadencjami George Enescu. Koncert ten, przypisy-



wany Mozartowi, jest być może utworem innego kompozytora, względnie został ukończony lub przerobiony przez kogoś innego. Ludwig Köchel, autor podstawowego katalogu dzieł Mozarta: Köchelverzeichnis (KV), nie znając zapewne tej kompozycji, nie umieścił jej w swym wykazie. Prawdopodobnie odnaleziono ją później. Podobna zagadka dotyczy innego koncertu Mozarta zwanego *Adélaïde*. Kwestia autentyczności, całkowitej lub częściowej, jest sprawą ważną i bywa areną polemik. Z drugiej strony zainteresowanie się wartościowym utworem i chronienie go przed zapomnieniem świadczy bezprzecznie o umiłowaniu muzyki. Słynne *Invenzioni*

włoskiego kompozytora Francesco Antonio Bonportiego, stranskrybowane przez Bacha uchodziły do nie tak dawna za jego własne dzieła. Czy słuchało się ich inaczej, z większą dozą satysfakcji Historia muzyki zna wiele przypadków współautorstwa, swobodnych transkrypcji, współpracy wirtuozów z kompozytorami, ingerencji w cudze dzieła czy też posługiwania się cytatami. Sam Mozart podjął się nowej orkiestracji *Mesjasza* Haendla, a jego słynne *Requiem* zostało ukończone przez Süßmayera, jego ucznia, i w tej wersji bywa najczęściej wykonywane. Szostakowicz dokonał retuszu instrumentacji opery *Borys Godunow* Musorgskiego, Ysaÿe zmodyfikował harmonizację *basso continuo* jednej z sonat Locatelliego, nazwanej później *Au Tombeau*. Dzieło nabrało monumentalnego wymiaru. Wieniawski w *Scherzo-Tarantelli* posłużył się fragmentem arii operowej Moniuszki, a Chopin w swym *Scherzo h-moll* – poszukując zapewne kontrastu i specyficznej atmosfery – melodią kołędą.

Powróćmy do zasadniczego tematu. Umińska spędziła lata II wojny światowej w Warszawie. Przeżyła wówczas wiele dramatycznych chwil. W Powstaniu Warszawskim straciła wszystko łącznie ze swym cennym instrumentem. Ukrywając się, pracowała nad repertuarem. Po 1945 roku osiedliła się w Krakowie, poświęcając się pracy pedagogicznej.

Często opowiadała barwne anegdoty, m.in. o wspólnych dziecięcych zabawach pod fortepianem z Romanem Totenbergiem, swym rówieśnikiem, późniejszym wirtuozem – i jakby przez przypadek – jednym z pierwszych wykonawców dzieł Szymanowskiego.

Anegdoty te nabierały wielkiej wagi, kiedy dotyczyły twórców i odtwórców: Ginette Neveu, George Enescu, Jacques Thibaud, Arthura Grumiaux, Karola Szymanowskiego, Grzegorza Fitelberga, Grażyny Bacewicz, Kazimierza Wilkomirskiego, Artura Malawskiego, Michała Spisaka i innych. Opowiadała też o tajemniczych dziejach *Koncertu skrzypcowego* Roberta Schumanna i o jego prawykonaniu w XX wieku,

także o słynnych solistach cieszących się ogromnym powodzeniem – lecz mniej „fonogenicznych”. Jej wspomnienia pulsowały życiem, wymykając się wymiarowi historyczno-muzykologicznej abstrakcji.

Umińska, mówiąca świetnie po francusku, znała bardzo dobrze krąg kultury francuskiej. Jako juror bywała zapraszana do wielu międzynarodowych komisji, m.in. do Brukseli na Konkurs im. Królowej Elżbiety. Należała do redakcji *Dziela wszystkich* Karola Szymanowskiego. Przygotowała do druku wiele utworów. Wydała także oryginalne *Studium gam i pasaży*. Wykształciła dwa pokolenia doskonałych muzyków, pedagogów i laureatów wielu konkursów. Do jej najwybitniejszych, a znanych mi uczniów należą: Wanda Wiłkomirska, Jadwiga Kaliszewska, Ewa Szubrowna-Jargoń, Kaja Danczowska, Teresa Głębowna, Wiesław Kwaśny i Stefan Stańkowski.

Dla wielu była modelem. Polska muzyka zawdzięcza jej wiele.

* Doradzała też, by przy nauce pewnych fraz muzycznych wykonywać ruchy ciałem będące zasadą gimnastyki rytmicznej (rytmiki), co miało ułatwić nadanie muzyce ekspresji i bezpośredniości.

Prof. Z. Feliński zalecał śpiewanie fraz, artykułując dźwięki melodii/rytmu na prostych zgłoskach.

Aby wczuć się w należyte frazowanie i akcentację, początek serenady W.A. Mozarta *Eine kleine Nachtmusik* przedstawiałby się w następujący sposób: „pam-pa pam-pa pa pa pa pam”.

Wielki wirtuoz Eugène Ysaÿe, znany ze swego niujarzmionego temperamentu, celem uchwycenia pełni charakteru *Poloneza* H. Vieuxtemps wykrzykiwał pewne słowa i bił pięściami powietrze (wg relacji Emile Jaques-Dalcroze’a. Źródło: Ernest Christen *Ysaÿe*, Editions Labor et Fides, Genève 1946). Sam Ysaÿe wyraził się w ten sposób: „Mettez-vous en position pour l’attaque du tempo, frappez l’air énergiquement, violemment, en accentuant chaque temps. Vous obtiendrez du mordant” (op. cit).



Halina
Godecka

Polska

Stańczyków nie błaznów nam trzeba

Wśród nielicznych rozrywek istniejących dla możliwych ludzi w średniowieczu, wybitną rolę odgrywali trefnisi, zwani błaznami. Na niezwykle ciekawe informacje natrafiłam w Madrycie w wydawnictwach Muzeum Prado, a potem również i krajowych. Według tych wydawnictw zwyczaj trzymania błaznów na królewskich dworach sięga wojen krzyżowych, pewne jednak jest, że niektórzy z błaznów zyskali sobie trwałą pamięć dzięki swej mądrości, jasnym sądom i przenikliwości umysłu. Byli zwykle nieodłącznymi towarzyszami swych panów za życia.

Według Mirosława Słowińskiego, autora książki *Błazen. Dzieje postaci i motywu*, parających się tą profesją szczególnie cenili Władysław Jagiełło. „Król nie ukrywał, że przy grze lutników, wyczynach kuglarzy, zabawach skoromachów z niedźwiedziami, ciętych dowcipach i kawałach błaznów doskonale się bawił” – podkreśla Słowiński. Opisuje też, że kolejne pokolenia trefnisiów okazywały się coraz bardziej inteligentne i wyrafinowane. Pierwszy sławę błazna intelektualisty zdobył służący kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego, niejaki Bieńko (Bieniasz). Podczas jednej z uczt na Wawelu zaimponował królowi Zygmunutowi Staremu tym, że gdy wie-
lu wysokiej rangi dostojników sztydziło

z Bieńka, nagle „[...] nadał się trefniś siedząc i poważnym odezwał się głosem. – Znaj, Waszmość, iż nie lada pan ze mnie i większy od kanclerza; on ma jednego błazna do zabawy, ja zaś mam tyłu, ilu tu was jeno” – opisywał Kazimierz W. Wójcicki w *Obrazach starodawnych*. Jednak nawet Bieniasz nie mógł się równać z najślawniejszym trefnisiem w dziejach Polski – Stańczykiem.

Stańczyk doczekał się w Polsce nieśmiertelności, dzięki pędzlowi Jana Matejki. Do dzisiaj zachowało się bardzo mało zapisków o tej postaci, można z nich wnioskować, że był człowiekiem nietuzinkowym. Wiele o nim mówią krótkie notatki królewskich skarbników sporządzone przy wpłacie pensji. Jedna, z 1543 roku, brzmi: „Stańczykowi Sapienti”, czyli „mędrcom”, w drugiej, dwa lata późniejszej, czytamy: „Stańczykowi błaznowi a raczej rycerzowi J.K.M. z łaski owej Miłości”. Stańczyka ceniono nie tyle za poczucie humoru, ile za inteligencję. W rękopisie, który powstał za czasów Stefana Batorego, nieznanemu autorowi wspomina, że błazen „mówił zawsze gorzką prawdę zarówno królowi, jako panom i dworzanom”, ale słuchano go uważnie, bo istotne treści potrafił przekazywać w wesoły sposób. Wybaczone mu więc, gdy podczas uczt u Klemensa Janickiego charakter mieszkańców Rzeczypospolitej podsumował

słowami: „Polacy jak tablica z wosku, na niej Niemiec, Francuz, Włoch, Hiszpan a Czech najwięcej malują, co im się żywnie podoba, a nawet swoje języki im w gębę kładą”. Posadę swoją na dworze Stańczyk miał, zanim jeszcze Zygmunt Stary został królem, przeżył go zresztą i pracował też dla Zygmunta Augusta. Był

swych panów. Nieraz nie była to bowiem rzecz łatwa! Błazen był jedyną osobą, której wolno było mówić swemu władcy prawdę, toteż zastępował często opinię publiczną!

Berło błazeńskie z dzwoneczkami, oryginalny strój, kapiszon z uszami oślimi to ich emblematy. Na równi

w wieku XVIII i to na jego schyłku moda ta stawała się coraz rzadsza.

Ostatnim błaznem królewskim, będącym równocześnie karłem, był Józef Borusławski, urodzony w okolicy Halicza w 1739 roku, w rodzinie zubożałej szlachty. Był osobą inteligentną. W wieku lat osiemnastu mówił pięcioma językami,



wykształcony, zamożny, cieszył się powodzeniem u kobiet i poważaniem wśród polityków. Lgnęli do niego najwięksi intelektualiści tamtych czasów. Sławny Marcin Kromer zadedykował mu nawet dzieło *Rozmowy dworzanina z mnichem*.

Inni błazni, jak Jan Dzwonkowski za Zygmunta III, również odegrali ważną rolę w ówczesnym życiu dworskim. Dzwonkowski na przykład wślawił się tym, że był przypuszczalnie jedynym błaznem, który potrafił pisać! Pozostawił po sobie Statut, obejmujący z przepisami dla „wesołków”, jak mają rozweselać

z błaznami cieszyły się sympatią monarchów przeszłości również inne, nie mniej oryginalne postacie. Karły i karliczki, których portrety, nieraz świetnych mistrzów, choćby Velasqueza (Muzeum Prado w Madrycie), zachowały się do tychczas. W czasach średniowiecza, renesansu, baroku czy rococa ludzie byli nader wrażliwi na wszelkie „dziwy natury”, jak wspomniane karły, toteż chętnie „kolekcjonowali” tego rodzaju anomalie. Nieraz dwory współzawodniczyły ze sobą pod tym względem, płacąc duże sumy za ciekawe „okazy”. Dopiero

„słynął dowcipem i dojrzałością umysłu”, grał też na gitarze. Wychowany był początkowo przez hrabinę Tarnowską w Rychtach na Podolu. Borusławskiego przezywano „Joujou”. Ze swoją opiekunką, miecznikową Anną Humicką wyjechał do Wiednia, gdzie dostąpił zaszczytu „spoczywania” na kolanach Marii Teresy. Po pewnym czasie sprowadzony został na dwór króla – wygnańca, Stanisława Leszczyńskiego do Luneville, gdzie miał pozostać. Biedny karzełek, którego wzrost nie przekraczał 83,8 centymetra, znalazł na dworze rywała w zachowaniu

swojego statusu. Był nim Francuz z Wogezów, Mikołaj Ferry, zwany „Bébé”. O ile Boruślowski był dobrze zbudowany, bardzo inteligentny, miły w obejściu, o tyle „Bébé” miał wszelkie cechy karłów, łącznie z złośliwością oraz oznakami starości na twarzy. W pewnym momencie dwór Stanisława Leszczyńskiego podzielił się na dwa stronnictwa. Jedno popierało Boruślowskiego, drugie, z panią de Talmont, kuzynką króla na czele, Ferry’ego. Kiedy jeden z dworzan króla, hrabia de Tressan, przedstawił Akademii Umiejętności w Paryżu sylwetkę karła Ferry’ego, nie szczędząc mu złośliwych epitetów, pani de Talmont zaczęła prowadzić swoją kampanię przeciwko Boruślowskiemu, chcąc w ten sposób zohydzić środowisku pupila hrabiego. W każdym razie w tych dobrych, dawnych czasach kwestia cnót i wad obu karłów wywoływała emocje u najwyższej nawet postawionych osobistości.

Liczne listy i dokumenty odnoszące się do życia dworu lunevilskiego wspominają nieraz Boruślowskiego, który w dorosłym życiu mężczyzną zgrabnym, umiał pięknie tańczyć i nieraz popisywał się na stole podczas większych biesiad. Umysł jego, wykształcenie i dar szybkiej i dowcipnej riposty zadziwiały współczesnych. Z Luneville Boruślowski przybył do Wersalu, na dwór Ludwika XV i królowej Mari Leszczyńskiej. W Paryżu hetman Ogiński uczył go muzyki, a wydając raz wielki obiad, ukrył go w wazie srebrnej na stole. „Gdy karzeł na dany znak zrzucił pokrywę, zaproszone damy zaczęły uciekać z krzykiem, aż je grzeczną swą przemową zatrzymał”.

Tymczasem koniec Ferry’ego był równie smutny, jak jego postać. Zmarł zapomniany i schorowany przedwcześnie, gdy tymczasem Boruślowski został wypędzony przez miecznikową Annę Humiecką za miłosną intrygę. Zakochał się bowiem w znacznie młodszej Izalini Barboutan. O jej względy długo się starał, pisząc płomienne listy. W końcu ożenił się z nią, co tak zdenerwowało miecznikową. Dochowali się trzech córek, ale małżeństwo się rozpadło. W tym samym niemal czasie interesuje się nim król angielski Jerzy IV. Pod jego patronatem Boruślowski pisze pamiętniki, które ukazują się później w kilku językach. Przyniosły one Boruślowskiemu nieprzemijającą sławę. Były wielokrotnie wydawane w XVIII i XIX w. Pierwsze wydanie – londyńskie z 1788 roku (*Mémoires du célèbre nain Joseph Boruślowski gentilhomme polonois...*) zostało zilustrowane ryciną (miedzioryt punktowany), wykonaną w 1787 roku przez Williama Hincksa, grafika działającego w Londynie. Boruślowski zamieszkał w Dyrham w Anglii, gdzie zmarł w wieku 98 lat, w 1837 roku, a jego zwłoki spoczęły w katedrze w Durham.

Opracowanie: Halina Godecka



Bolesław

Bieniasz

Belgia

W ciszy pokoiku starego miasta moje pierwsze lekcje muzyki

Naukę gry skrzypcowej rozpocząłem zimą, kilka miesięcy przed ukończeniem piątego roku życia. Po wakacjach letnich, w czasie których z zapałem grywałem z góralami ich pieśni i tańce, rodzice moi postanowili dokonać pewnych zmian w organizacji



Bibliografia: 1. Anna Grześkowiak-Krwawicz (*Zabaweczka. Józef Boruślowski – fenomen natury, szlachcic, pamiętnikarz*, Gdańsk 2004); 2. Hanna Widacka Silva *Rerum. Joujou Boruślowski – najsłynniejszy polski karzeł*, Muzeum w Wilanowie. 3. Stanisław Mancewicz, *Przeczytałem w... Dziś i ongiś*, „Magazyn Krakowski” 2004. 4. Jerzy Ziomek, *Renesans*. Warszawa 2012.

moich zajęć. Poszukiwania szkoły spełzły na niczym, gdyż w pierwszych latach po wojnie szkolnictwo artystyczne zaczęło się dopiero kształtować. Edukację muzyczną kontynuowałem na lekcjach prywatnych. Tym razem zajął się moją edukacją Roman Kozik, mąż kuzynki mojej matki, członek Orkiestry Filharmonii Krakowskiej. Uczyłem się u niego przez osiem lat. Wujek Roman odznaczał się wielką dobrocią i cierpliwością. Kochał głęboko muzykę. Kiedy rozmowa schodziła na jej temat, twarz mu jaśniała. U zarania swego życia napotkał wiele trudności. Z braku wsparcia najbliższego otoczenia zajął się regularnymi studiami muzycznymi dopiero w osiemnastym roku życia. Pozostał jednak wierny swemu powołaniu i wspinał się wysoko w artystycznej karierze.

Pewnego razu w dzieciństwie zdarzyło mu się tak mocno zasłuchać w dźwięki orkiestry dętej idącej ulicami miasta, że – zamiast iść do szkoły – jak urzeczony „poszedł za jej muzyką”. Nagła cisza połączona z niespodziewanym widokiem kosszar z przedmieścia, dokąd wróciła orkiestra, wrywała go ze sfery marzeń, przywołując do niewesołej rzeczywistości spóźnionego ucznia.

Kilka lat później, pewnego dnia został czasowo usunięty z Konserwatorium z powodu używania metalowych strun – nowości nieakceptowanej w tamtych czasach. Autorem sankcji dyscyplinarnej była zapewne dyrekcja, a nie jego profesor, Artur Malawski, utalentowany skrzypek i doskonały kompozytor. Działo się to mniej więcej w tych samych latach, kiedy w klasie Malawskiego studiował także Witold Rowicki, późniejszy słynny dyrygent.

Wujek Roman dał mi podstawy sztuki muzycznej. Nie tylko w sensie techniki instrumentalnej, lecz także zachęty do wnikliwości i wyczucia. Powoli zacząłem „zamieniać się w słuch”, gdy on, wierny swym przekonaniom, pozostawał nieustępliwy. Wymagał, abym grał zupełnie czysto. To on nauczył mnie strojenia skrzypiec. Tak długo wsłuchiwałem się w interwał naturalnej kwinty, aż stał się on częścią mnie. W jakiś czas później zapoznał mnie z „tonami kombinacyjnymi”, zwanymi po włosku *terzo suono*, a odkrytymi przez Giuseppe Tartiniego. Polega to na tym, że przy jednoczesnym wykonaniu dwóch absolutnie czystych dźwięków ich intonacja wprawia je w specyficzną interferencję drgań, dzięki czemu – w magiczny niemal sposób – wyzwala się „dźwięk trzeci”, wzbogacający brzmienie. W sumie dwa brzmia w tercecie, noszącym znamię akustycznej tajemnicy.

Byłem jego pierwszym uczniem. Pod jego kierunkiem grałem gry i pasaże, etudy melodyczne oraz utwory charakterystyczne, odzwierciedlające całą skalę uczuć. Praca nad nimi dawała mi wiele radości. Pamiętam do dziś przejmującą *Pieśń starofrancuską* Czajkowskiego, *Tarantellę* Hansa Sitta, pełen wigoru *Mazur* Emila Młynarskiego czy też *Legendę* Wieniawskiego.

Muzyka dla mojego nauczyciela była pasją przez całe jego życie. Każde wykonanie symfonii czy uwertury któregoś z klasyków było dla niego wielkim przeżyciem. Po latach, kiedy kupił magnetofon, nagrywał na taśmę koncerty nadawane przez radio, by później – w ciszy i samotności – ponownie delektować się ich brzmieniem. Po ukończeniu swoich studiów otrzymałem z jego kolekcji nut wiele cennych ich egzemplarzy.

Cofnę się nieco w czasie. Pewnego razu wuj Roman zabrał mnie do Filharmonii, bym posłuchał gry Leonida Kogana, rozpoczynającego swoją wielką karierę. Na ten wyjątkowy wieczór wszystkie bilety zostały

wyprzedane. Słuchałem więc koncertu za kulisami, siedząc na jakiejś skrzyni. Portier przypatrywał mi się bacznie. Tak mi się przynajmniej wydawało. Bałem się bardzo, że mnie ktoś wyprosi. Miałem wówczas nie więcej niż 9 lat. Strach zniknął jednak niebawem. Pamiętam do dziś aurę tego koncertu i żarliwy dźwięk skrzypiec Kogana.

W rok lub dwa lata później spostrzegłem w rękach mojego profesora intrygującą mnie książkę pióra Zenona Felińskiego *Fizjologia gry skrzypcowej**. Mimo że nie znałem autora, książka wydała mi się bliska. Widziałem ją także na wystawie sklepu muzycznego pośród nowości wydawniczych. Mój wujek Roman, zapoznając się z tym dziełem, pragnął dowiedzieć się czegoś więcej, podobnie jak czytelnicy studiujący traktaty Giuseppe Tartiniego, Leopolda Mozarta, F.A. Steinhausena, Carla Flescha, a później Konstantina Mostrasza. W kilku słowach wspomniął mi wtedy o korzyściach odniesionych z tej lektury. Słowa te głęboko zapadły mi w pamięć.

Dzięki nim oraz w następstwie pewnych zbiegów okoliczności zostałem uczniem profesora Felińskiego, by w konsekwencji – po wielu trudach, perypetiach i olśnieniach – zasilić szeregi kolejnej generacji muzyków.

* Późniejszy tytuł: *Zasady gry skrzypcowej na podłożu fizjologii*. Współautorem tego dzieła jest dr H. Gaertner.



W i e s ł a w a

Siemaszko-Zielińska

P o l s k a

Jak ptak

smagany wiatrem
wzbijasz się do lotu
ponad codzienność
ponad słońce
wysoko poza horyzont
ten niczym klepsydra
odmierza twoją drogę
przesypuje ją między drzewami a niebem
wciąż wyżej jakby na przekór światu
dotykem łagodzi
skały
drogowskazy spojrzeń
kręte ścieżki snów
i Śnieżkę zadumaną
u stóp której trwasz w nieskończoność

Jeszcze wczoraj

wschód słońca
to purpurowe światło
u podnóża gór
i cisza
potem przeraźliwe wiatru łkanie
tamte niebo ciemnoszare na szczytach
gór
jak nocy cienie nad ziemią
echo powietrza
jak krzyczący grom
co po ciemnych górach tańczy
to nawałnica
co jak błyskawica przecina horyzont
i deszcz niczym zasłona
z wolna płynący
płaszczka gór kontury
mgłą otulone
i błękit nieba
jaśniejący zwiastun spokoju

Dzisiaj zachód słońca
to góry szafirem powleczone
i ciemnożółte chmury nad Szrenicą

To koniec wędrówki na szlaku



Halina
Godecka

Polska

O SZTUCE odbioru SZTUKI

Do takich przemyśleń skłoniło mnie wspomnienie o pewnej „przewodniczce”, która przed Rijksmuseum w Amsterdamie stwierdziła: „a w tym muzeum zobaczycie Rubensona i Michała Archanioła”. Później przez kilka dni przyswajałam sobie oba określenia, bo jednak automatycznie myślałam o Rubensie i Michale Aniele Buonarroti Simoni. Mam świadomość, że oba nazwiska nic tej przewodniczce nie mówiły i były jej obce, ale czyżby była niechlubnym wyjątkiem? Jaki jest nasz stosunek do SZTUKI? Czy sztuką jest dzisiaj sam odbiór SZTUKI? Powyższy tytuł może się wydawać przewrotny, bo przecież wszyscy patrzymy i widzimy i odbieramy SZTUKĘ. Czyż do tego aby na pewno potrzebna jest jakaś specjalna umiejętność, szczególny dar? Śmieszne? A jednak! Przy dalszym rozważaniu dojdziemy do przekonania, że tylko znikomy odsetek ludzi umie patrzeć i widzieć, słyszeć i wsłuchiwać się w SZTUKĘ.

Muzyka

Weźmy taki przykład: do filharmonii wprowadzamy człowieka, którego nazwijmy pan X i który nie interesuje się żadną muzyką. Jest też pierwszy raz w sali koncertowej. Czasami coś tam w Internecie znajdował, ale raczej nie wsłuchuje się dłużej w muzykę, zwłaszcza klasyczną lub poważną. Pana X sadzamy w sali koncertowej i prosimy go o uważne słuchanie muzyki, którą będzie wykonywać orkiestra. W programie wieczoru można wyczytać, że między innymi wykonana zostanie IX symfonia Beethovena.

Po skończonym koncercie zadajemy pytanie: co też pan X słyszał lub zapamiętał w czasie tego wieczoru? Czy odebrał to jako nieśmiertelne dzieło filozofa muzycznego? Nie! Zapamiętał hałas powstały z różnorodnych instrumentów, który nie wywarł na nim większego wrażenia. Koncert go nudził. Naszego pana X „rozbawiły natomiast śmieszne ruchy jakiegoś pana, który odwrócony od publiczności wymachiwał rękami i groził pałeczką grającym, jakby ich w ten sposób poganiał”. To najprawdopodobniej było wrażenie, jakie odniósłby ów nieszczęśnik z koncertu symfonicznego. Tak się to kształtuje w różnych wypowiedziach, które przez pewien czas zbierałam z ciekawości w różnych środowiskach.

Pójdźmy teraz o duży krok do przodu i założmy, że wprowadzamy na tę samą salę ludzi o średnim i wyższym wykształceniu, niekoniecznie muzycznym. Cóż oni usłyszą? Ten sam hałas, z którego tu i ówdzie wyłaniał się jakiś temat, jakaś melodia? Melodia, która na ich psychikę mniej lub więcej oddziaływała i naprowadzała ich na jakieś myśli, wywoływała refleksje, wspomnienia, rozmarzała ich w trakcie koncertu. Po kilku taktach muzyki prawdopodobnie przymykają oczy i dają się ponieść muzyce w inne światy. To są ci amatorzy kochający SZTUKĘ, której nie koniecznie dogłębnie rozumieją ale dla nich posiada ona ogromny urok i jest ważnym przeżyciem. Oni wchłaniają to, co im odpowiada z zamiłowaniem i bezkrytycznie. Nie zastanawiając się, co na nich oddziałuje,

ale nie wypowiadają żadnej krytyki. To są ci uczestnicy najszerzej, najwdzięczniej grupy odbiorców, wypełniających sale koncertowe, dobijających się wcześniej do kas filharmonii, czekających cierpliwie godzinami na otwarcie tych kas, aby zdobyć tani bilet, poświęcając wszystko dla możliwości spędzenia wieczoru z muzyką np. w operze i wpaść przy ostatnich akordach utworu w szczyry entuzjazm. Czy te grupy ludzi słyszały w pełni symfonię lub uwerturę ulubionej opery? Jeszcze nie!

Ta grupa odbiorców słyszy już o wiele więcej niż poprzedni słuchacz pan X, ale jeszcze ciągle odbiór muzyki jest tym ludzom obcy i nie do końca zrozumiały, choć do końca nie zdają sobie z tego faktu sprawy.

Dopiero gdy na sali koncertowej filharmonii lub w operze znajdzie się osoba posiadająca wykształcenie muzyczne, dla której reguły harmonii, kontrapunktu, form, kanonu nie tylko, że nie są obce, ale jest wstanie objąć całość kompozycji, wnikać w dzieło, wyławiając bez trudu tematy prowadzone w formie fug, kwartetu, sekstetu i postępując śladami autora, wyławiając dźwięki jak perłę po perle, które jakby nawleczone na czarowne nici tworzą ten klimat i specyficzną atmosferę dzieła muzycznego. Te osoby słyszą w symfonii, symfonię, a w operze, operę i mają tzw. nastawienie muzyczne. A ilu ludzi słucha z takim „nastawieniem muzycznym” śpiewu ptaków? A przecież są ptaki, które wyśpiewują tematy pięciotonowe, a nawet ósmiotonowe, które

można użyć w muzyce, czego najlepszym przykładem jest Wagner, który skorzystał z powodzeniem z ptasiej muzyki w *Siegfriedzie*. Takie słuchanie dźwięków jest umiejętnością, specjalnym darem słuchania SZTUKI.

Sztuki plastyczne

A teraz spójrzmy na sztuki plastyczne. To, co w obrazie widzi malarz, tego nigdy nie dopatry się przypadkowy amator odwiedzający wystawę czasową lub galerię, który nie miał w życiu pędzla w ręce. Amator szuka w dziele SZTUKI (bez względu na kierunek, w jakim to dzieło powstało) jedynie treści. Jego interesuje przede wszystkim to, „co” widzi, a nie, „jak” ten przykładowy obraz powstał. Fachowca, artystę i twórcę interesuje w tym samym dziele malarskim to, „jak” ono powstało, a mniej to, „co” prezentuje. To, „co” amator określa, że obraz jest „ładny lub brzydki”, artysta klasyfikuje zwykle na dzieła dobre i złe, bo nawet te złe mogą się okazać z czasem dobre, czego przykładem mogą być obrazy Cezanna, a to, co uznane zostało za „ładne”, okazało się z czasem złe.

Tu właśnie leży zasadnicza różnica w pojmowaniu SZTUKI. Amator, patrząc na obraz, może ulec wrażeniu, że obraz swą treścią na niego oddziałuje. Dlatego być może tyle słabych płócien, zwanych potocznie „kiczami”, spotykało się w mieszkaniach miłośników malarstwa zwłaszcza w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Obraz zachwycał swego nabywcę treścią, natomiast nie interesowało nabywcę, czy to kopia, jak jest wykonana, ponieważ „jak” jest wykonane dane „dzieło”, już niestety nie ma dla nich znaczenia.

Bezspornie malarze – twórcy i artyści – widzą świat inaczej. Artyści, widzą obrazy w innych kolorach, może ze znaczną domieszką odcienia różowego, optymistycznego, gdyż i na życie zapatrują się inaczej. Malarz, patrząc na jakiś krajobraz, widzi w nim poemat stworzony przez naturę, symfonię barw rozkwitłych łąk zbóż lub rzepaku. Wczuwa się w hymn radości nad kwietnymi rabatami ogrodów lub

elegię smutku późnej jesieni. Tak samo odczuwają poeci lub muzycy. Inni ludzie, nie mający ze sztuką na co dzień wiele wspólnego, odczuwają to w większej lub mniejszej mierze, ale nigdy tak subtelnie i dogłębnie, jak artyści. I właśnie ten stopień odczuwania, przeżywania a potem zdolności oddania tych odczuć w formie obrazu, poematu lub kompozycji muzycznej, jest miarą wielkości i doskonałości artysty. Tak właśnie można, moim zdaniem, określić SZTUKĘ patrzenia i widzenia. Widzenia tego, czego inni patrząc, nie widzą.

Poezja

Trzecim, istotnym rodzajem SZTUKI jest poezja, z którą jest analogicznie. I tu generalnie panuje brak zrozumienia. Można śmiało powiedzieć, że z zasady „wierszy się nie czyta” w formie książkowej, bo generalnie mamy kłopoty z czytelnością. Zresztą źle czytany wiersz może być naprawdę nudny, choć czytanie poezji uznajemy za SZTUKĘ. Z powodu braku wycucia i odczucia, braku umiejętności patrzenia i widzenia, słuchania i wsłuchiwania się w wiersze jesteśmy ubożsi o te doznania w stosunku do poetów, bowiem poeci widzą i słyszą. To, co piszą, może się wydawać naiwne, nienaturalne, banalne, bo źle odczytany wiersz można porównać z odegraniem najpiękniejszej nawet arii jednym palcem na fortepianie. Profanacja?! Być może, ale gdy ten sam wiersz odczyta aktor, który każdemu słowu, każdej frazie nada odpowiednie znaczenie, zastosuje właściwą intonację, wiersz nabiera nowej mocy. W ustach recytatora słowa zmieniają się w muzykę.

Poezja jest uważana za królową SZTUK, ponieważ nie ma nic piękniejszego i wznioślejszego, jak wyrażać twórcze uczucia w rymach i rytmach słów. Większość słuchaczy odczuwa czar, jaki roztacza poezja, chociaż jej sedna często nie rozumieją. Nie odgadują, w czym leży to, zagadkowe „coś”, co nadaje wierszom cechy arcyzmu.

Na podstawie takich przemyśleń wyłania się pytanie: skoro sztuka jest tak mało zrozumiała dla ogółu i tak

mało rozumiana przez ogół, że trzeba przeszkoleń, aby ją sobie przybliżyć, to dla kogo właściwie artyści SZTUKĘ tworzą? Dla szerokiego odbiorcy? Dla siebie samych?

Odpowiedzi mogą być różne. Wydaje się, że najważniejszą odpowiedzią byłoby hasło z początku XX wieku, czyli „sztuka dla sztuki”. Artysta tworzy jakieś dzieło, bo to jest jego koniecznością duchową, bez względu na to, czy wiersze jego będą czytane, obrazy kupowane, a kompozycje grane i śpiewane lub nie. Może ten albo ów autor będzie miał szczęście i dzieła jego ducha, jego najgłębszych uczuć i odczuć, staną się artykułami „handlowymi”. Publiczność będzie kupować jego obrazy, znajdzie wydawców dla swojej poezji, względnie wykonawców utworów muzycznych. Do tego świadomie, ale dopiero w drugim rzędzie, zdąża każdy artysta. Przede wszystkim chodzi mu jednak o zdobycie odbiorcy i uznania. Publiczność jest jednak w gruncie rzeczy wobec SZTUKI obojętna. Pewnie z tego powodu ludzie przechodzą całe życie obok pomników, ciekawych architektonicznie budowli lub świątyń i nie zauważają piękna, jakie z nich emanuje. Z tego samego powodu zapewne nie zastanawiają się, dlaczego takie wrażenie robi bicie dzwonów na wieżach kościelnych i dlaczego tak harmonijnie zlewają się ich dźwięki w jedną całość.

Jakże jednak z tej perspektywy szczęśliwi są amatorzy! Porywa ich urok jakiegoś dzieła, którego nie muszą rozumieć. Czaruje ich w nim coś, czego nie muszą definiować. To są ci odbiorcy SZTUKI, którzy przeżywają największe wzruszenia, którzy delektują się SZTUKĄ, odczuwają ją bez własnej potrzeby głębszego wnिकania w nią. Natomiast „fachowcy” rozumieją dogłębnie SZTUKĘ, przyjmują ją z zimną rozważą. Podchodzą do niej ze „skalpelem”, krając symfonię na akordy, poematy na wersy i zgłoski, obrazy na każde pociągnięcie pędzla, zabijają po drodze w sobie ten ważki element odczuwania, jakim jest entuzjazm, który rzadko u siebie potrafią wskrzesić. Bo jak powiedział pewien filozof, „SZTUKĄ jest SZTUKA odbioru SZTUKI”.



A g n i e s z k a

Zięba-Dąbrowska

Polska

Alpejska Pani

Skarabeusz obok parasolek zachwyił swoim pancerzem, dając wyraźnie do zrozumienia, że ten kącik w przedpokoju jest już zajęty.

– To prawda – powiedziała maska wenecka.

– Słusznie – potwierdził egipski kot, stróżujący przy stoliku pełnym egzotycznych owoców.

Przeszłam przez drzwi baśni, jakbym cofnęła się w nieznaną mi dotąd czasoprzestrzeń. Gospodyni domu i jej ciepły uścisk dodawały pewności siebie. Koronkowa, granatowa sukienka zawirowała, gdy rozłożyła radośnie ręce, obracając się wokół własnej osi.

– Witam, witam was, ogromnie zadowolona z tych odwiedzin. Płytki koloru kremowego budynku rozgrzały się emocjonalnie i nie życzyły ściągania butów.

– Och! – wykrzyknęłam z zachwytem, dostrzegając w centralnym miejscu salonu wykwinną choinkę. – Jakby przysła z tego lasu za oknem – pomyślałam rozmarzona aż po horyzont realnego świata.

Pan domu w naturalny sposób zaprosił do stołu, sugerując nawet chęć wymknięcia się w zapadający śnieżny zmrok, ale ta kokieteria była nawet urocza. Oczywiście został. Wszystko potoczyło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chciałam, by czas stanął w miejscu. Czułam wszechobecną magię, która totalnie zawróciła mi w głowie. Delikatne światło muskające najodleglejsze zakątki neuronów sprawiło, że endorfiny wirowały w powietrzu niczym nabrzmiałe ukrwieniem barw cząstki atomów. Moja kurtka znalazła się w szafie na wieszaku, zanim zdążyłam o tym pomyśleć.

Wyrываяc się wszelkim konwenansom, nie czułam skępowania, darząc uśmiechem niemal każdy szczegół wystroju domu. Zanim postanowiłam usiąść do niezwykle atrakcyjnego obiadu, musiałam stąpnąć nóżką na schodki prowadzące do eleganckiego atelier przyjmującej nas artystki, malarki i poetki. Wiem, co to jest

za magnetyzm, gdzie sztuka rodzi się sama. To aura, która temu sprzyja. Stała się materiałem, który można formować po swojemu. Dom z wyobraźnią brokatowego, anielskiego płaszczyka z tuniki gwiazd o impresji ochry, bieli i wakacyjnej pistacji.

Wędruję tym uduchowieniem wśród kremowych sof, gdzie partytury grają rozszczepione niczym włosy blade światełka dające odczyn medytacji. Świece wysmukłością Afrodyt masują rozkosznie dłonie sprężystym woskiem, namaszczając filuterność świecznika. Błądząc nieco, chcąc trafić do łazienki.

– To sypialnia Pani domu – usłyszałam za sobą, gdy prawie przekroczyłam na w pół przymknięte pomieszczenie. Drzwi w kolorze ciemnego brązu, prawie takie same jak do toalety.

– Przepraszam, nie wiedziałam – zakomunikowałam gospodarzowi. – Proszę przymknąć sobie te drzwi – podpowiedział uprzejmy głos – tak dla własnego komfortu.

Rzeczywiście, wtedy zauważyłam, że zasuwana ścianka z lustrem otwiera się również do sypialni. Domknęłam je i poczułam się niemal jak w kapsule, która może przenosić w dowolny czas i miejsce. Ręce oczywiście trzeba umyć, ale ten przyspic to prawdziwa sterownia bajko-wodolandii.

– Agusiu – dobiegł do mnie znajomy tembr głosu. – No tak, można się zapomnieć. Stół z wielką dumą użyczył swych mięśni srebrnej zimowym oddechem paterze, na której w sosie własnym wystąpiło mięso otoczone warzywno-owocowym mussem. Roladka rozproszyła kawałeczki woni między buraczkową kantatę a owalne plastry ziemniaków.

Raz po raz zatrzymywałam się, by delektacją niebiańskich soków nie wzruszyć zbyt firanki tulącej kwieciste plantacje afrodyzjaków ludzkości. Perłowa noc zapadała, wsysając w siebie nieboskłon horyzontu.

Na Modrzewiowej rozkwitnął raj pomarańczy i grejpfrutów. Choć dookoła puszysta zima i ta korona z drzew... Okrągły

kalejdoskop zapachów zadziwił aż do połysku mandolinę, która swym archaicznym głosikiem zapytała:

– Czy może być piękniej?

Makowiec uśmiechnął się od ucha do ucha napuszony nadzieją robiącym filiterne fale. Kandyzowana skórka wzięła głęboki wdech, zanim poleciała czułe podniebienie. Tymczasem Pan domu zdjął ze ściany bliski mu szkic. Pochylny tłumaczył jego historię. Po chwili dołączyła do niego czarodziejka obrazów, żona ze snu. Pomyślałam, że to właściwy moment, aby uwiecznić ich w kadrze aparatu.

Wkrótce zawirowały portrety i zrobiło się tak jakoś bardzo artystycznie. Trzy znalazły miejsce obok siebie na rzeźbionym kredensie. Patrzyły wprost w moją stronę damy niezwykle szlachetne, oryginalnie ujęte przez portrecistę. Patera z ciastem opróżniała się. Teraz chciał wystąpić czajniczek do herbaty. Naprężając swą szyjkę ekskluzywnym dygnięciem pary, zanurkował w równie dorodnej filiżance, obdarzając ją miodnym i kwiecistym płynem.

Jedna z lampek pięła się po ścianie, pragnąc obejrzeć widowisko z góry. Klosz zwinęła w dziubek, jakby chciała wyłapać każde słowo natchnionej atmosfery. Butelki z winem prezentowały się nienagannie. Każda w oryginalnym garniturze od Armaniego, Versacego, Diora...

Zapłonęła rumieńcem krucha, miniaturowa choineczka, młodsza siostra dojrzalej, sztucznookiej piękności. Starła się ukryć swoje dziewczęce fantazje. Jakże jej było dobrze wśród górskich pejzaży i kwiecistych amuletów. Wchłaniała posagową urodę dwóch dam strojących filiterne miny w kierunku bujanego fotela. Zapewne marzył on o błogim kołysaniu się w rytm bożonarodzeniowych kolęd.

Czas przeżył swój animusz, napędzając grafikę zdarzeń. Pani domu uśmiechała się anielsko, a jej blond włosy tworzyły nad głową aureolę spokoju i życzliwości. Nagle wylądował przed moimi oczami długonogi kieliszek z czerwonym płynem.

– Pora na bruderszaft z Andrzejem. Alpejska dziewczyna wyraźnie mnie zaskoczyła, nie spodziewałam się tego akurat teraz. Zrobiło się zamieszanie z portretami. Jeden telefon milczał lub komponował wersję rozmowy po angielsku, gdy gospodyni próbowała nawiązać kontakt z jedną z namalowanych kobiet. O drugiej bohaterce dowiedziałam się, że bardzo lubi tańczyć, kiedy inni nie tańczą.

Biblioteczka zakręciła sumiaste wąsy ksiąg, przygotowując je do natychmiastowej gotowości i przeglądu literackiego. Jabłka w szklanej misie były za bardzo stłoczone, by wydusić z siebie chociaż słówko.

Na tym chwilowym rozproszeniu skorzystał natychmiast skarabeusz, który poruszył znacząco głową. Dostrzegł to pomarańczowy jeź piastujący na choince zaszczytne miejsce ze względu na wiek. Zrobiło się bardzo inteligentnie i seksownie. Podbiegłam zdjąć z haczyka maskę wenecką, która eksplodowała w moich dłoniach egzotycznym tańcem.

Nałożyłam ją i natychmiast odczułam, że jestem w samym środku weneckiego karnawału. Orzeźwienie nastąpiło w chwili

aplauzu poroża z jelenia. Dobry humor świadczyła mu ognista, pękata lampa, pełna subtelnych plecionek, zaobrączkowanych na jednym z rozłożystych rogów. Zachlipała bałałajka.

– Zdaje się, że wszyscy o mnie zapomnieli, a moja historia jest nietuzinkowa.

– Wierzymy ci – zamruczał egipski kot. – Nęcą te owoce tropików, choć w tym momencie wolałbym kapłankę Izydę.

– Musisz bardzo tęsknić za swoim krajem? – zapytała fałszywą nutą mandolina

– Och tak, ten klimat jest zdecydowanie za chłodny. – Starał się zachować fason, ale w oku zakręciła mu się łza, która stężyła na ogonie. Zasalutował. Marzył o pustynnych wydmach i świątynnych rytuałach.

Blask bił od strony kuchni. Szmaragdowe krople wody ujęte w koszyczek dłoni wyrwały się aż pod sam sufit. Osiadły na czole w postaci drobnych rys.

Kuchnia to alchemia talentów. Okno zasypia razem z wygaszaniem światła. Mieszają się z sobą energie druchien mrozu, który chucha prosto w twarz nierozgarniętego bałwanka przytulonego do jedwabiu szyby. Żakiety ciast równo rozmieszczone w kulinarnym menu czekają tylko na oryginalne kreacje wycinanek ich formy. Dostraja je polewa gwiazdy zza lasu.

Gospodyni porusza się po swym królestwie, jakby wykonywała slalom-gigant. Szybko i niezauważalnie. Śnieżynki sprzątają każdy kąt i nadają połysk kuchennym akcesoriom.

Ognia dorzucają malarskie impresje, hołubiąc zegar z kwiatów dni i nocy tykający rozkoszą przemiennych, czarodziejskich cyferblatów.

– Elegancki trunek dla ciebie – zagadnęła dziewczyna z Alp do mojego przyjaciela i postawiła na stole szlachetną wódkę zapakowaną pod krawatem wykwintnego, tekturowego gorse-tu. Zdawało mi się, że słyszę odgłos kół pędzących w śnieżnej zawieli.

Pan domu, jak przystało na prawdziwego dżentelmena, podał mi kurtkę i pomógł założyć. Szkoda tylko, że nie mógł się zaprezentować w całej krasie, gdyż jakaś złośliwa wróżka dotknęła jego policzka alergennym odczynem i przyćmiła męską urodę. Moment pożegnania nigdy nie jest łatwy, ale konieczny.

Promienna, alpejska Pani, jeszcze piękniejsza niż na początku, wręczyła mi NOELA – pyzatego misia w czerwonej czapeczce oraz majstersztyk cukiernianych smakołyków wprost spod lady austriackich geniuszy.

Wychodząc mimochodem, zerknęłam na skarabeusza, który w ogóle nie zmienił swojej pozycji. Ciągłe drzemał w cieniu parasolek.

– Do zobaczenia – szepnęłam, będąc przekonana, że gdzieś go już widziałam. Tak, jest zatopiony w breloczku, ale to zupełnie inna opowiadanka.

Zatrzymał się wiatr. Iluminacje natężyły światło. Dom na Modrzewiowej nabawił się charyzmy, bo od lasu widoczne były ślady księżycowej karocy i zupełnie przypadkowo wygłosił akceptację darów losu.



Henryk
Musa

Polska

Wierzba

Żonie Elżbiecie za wspólne lata

W poniedziałek 20 grudnia pojechałem z żoną Elżbietą do Konarzyn, gdzie mamy domek. Zimowa droga, pełna zakrętów (przez Kolbudy, Przywidz, Nową Karczmę Liniewo, Starą Kiszewę), ale spokojna. Pługi odśnieżne (w tym ustroju pewnie już są na wymarcu...) niewidoczne. Tylko cztery czarne ślady asfaltu na białej jezdni wyjeżdżone przez koła samo- chodów.

Do bramy „SIEDLISKA” nie da się dojechać – śnieg na ok. 0,5 m. Staję na drodze sąsiada, który mieszka na stałe obok, szufluję kawałek drogi do bramki. Ta nie otwiera się – zamazł zamek. Więc przez furtkę śmietnika przechodzę niemalże na śnieżną pustynię i po kolana w śniegu idę do domu. Tam biorę odmrażacz i wracam do furtki. Po chwili zamek się otwiera i zona może wejść kawałek na „włości”. Odkopałem część drogi do domu, garażu, drewnitni. Wiele razy pokonuję drogę samochód – garaż, dom – garaż. Po pozostawieniu przywiezionych rzeczy i zabranii świątecznych akcesoriów wracamy do samochodu. Przemoczyłem buty, nogi i z wodą w butach jadę do domu. W domu zdejmuję buty, mokre skarpety. Herbata z miodem, cytryną, aspiryna.

We wtorek jeszcze pojeździłem po ostatnie świąteczne zakupy. W środę mnie „wzięło”. Położyłem się do łóżka twarzą do okna. I wtedy jakby na nowo zobaczyłem wierzbę. Wierzbę płaczącą. Która stoi na wprost mych okien tuż za ogródkiem pod skarpą.

Przed moim domem jest ogródek, chodnik, skarpa i sąsiedni blok. Na skarpie postawiono dwie ławki i lampy, które niby halabardnicy stoją na straży ławek. Szczególnie jedna lampa – prawie na wprost okna. Gdy wieczorem się zapalała, filuternie mrugała i zaglądała do okna świecąc swe wieczorne opowieści...

Druga stoi dalej, jak się wychyłę, to ją widziałem i widzę.

Potem Spółdzielnia posadziła wierzbę. Małe, niepozorne drzewko. Po dwóch latach wierzba jak w bajce o dziadku i rzepce wyrosła ogromna, wielka i rozłożysta. Przesłoniła i lampy, które już tylko w nocy dają znać o sobie, jasnoróżowy z jasnozieloną klatką schodową, sąsiedni blok i pół nieba.



<https://pl.wikipedia.org/wiki/Wierzba>

Wyrzuciła swe konary – ramiona w górę, w dół i na boki. Wszystko to okryte zwisającymi gałęziami – włosami. Latem pieszczotliwie przegania białe obłoki na niebie, zimą – nie do końca bez listnymi włosami myje szare, ołowiane niebo. Latem zwisającymi pasmami włosów zagląda do mego ogródka i pieści krzak jaśminu.

Leżę i patrzę na ośnieżone konary wierzby. Śnieg tworzy różne rzeźby, poprawiane lub niszczone przez ptaki...

Wierzba. Latem istny raj dla ptaków – pierzastego bractwa. Co wcale nie znaczy, że zimą ich nie ma. Począwszy od wszędobylskich zadziornych wróbli, poprzez sikorki, kawki, wrony. I czasem ciekawe mewy się zapuszczają – ale okrążają kilka razy wierzbę i wracają do swych spraw... Przy samym domu stoi bardzo wysoki świerk, na którym swe gniazdo miały synogarlice. Lecz na czule *têt-à-têt* wybrały sobie wierzbę. Pokazał się bury kot, odwieczny łowca ptaków. Zaczął na nie polować. Chodził po gałęziach drzewa jak akrobata. Często obserwowałem te akrobacje i uniki gołębi. Tu nachodziło mnie wspomnienie opowiadania Iwaszkiewicza *Dziewczyzna i gołębie*. Gdy tylko kot się zbliżał nie bezpiecznie blisko do parki, ta podlatywała piętro wyżej gałęzi. Raz wydawało się, iż kot jest bliski swe go celu. Lecz źle obliczył swoje możliwości. Po skoku, gdy znalazł się tuż przy synogarlicach, spadł piętro niżej, i jeszcze raz. Tym razem pokonany, obolały zszedł z drzewa. Nie było go kilka dni. Po kilku dniach wrócił i swoje łowy rozpoczął na nowo. Po kilku dniach udało mu się w końcu upolować któregoś gołębia z parki. Tak powiedział mi sąsiad, gdy powróciłem po dłuższej nieobecności do domu. Drugi gołąbek gdzieś się przeniósł i kot też.

Teraz leżę w łóżku i patrzę w okno, na wierzbę pełną ruchu. Ruchu prawie bezlistnych gałązek – włosów, przesłaniających teraz niezbyt dokładnie, lampę, blok, niebo. Ruchu pierzastych, ruchliwych kulek skaczących z gałązki na gałązkę. W pewnej chwili struchlałem. Czyżby nowy łowca, tym razem czarny wszedł na wierzbę, polować na śniadanie? Po chwili odetchnąłem. To tak ułożył się śnieg, na tle konaru, tak jakby to był kot stojący na dwóch nogach.

W środę rano, gdy wnuk odsłonił roletę w oknie, zobaczyłem na wprost mnie dużą wronę, której pióra lśniły jak u kruka. I tu mi przysłała na myśl nowela St. Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Hola, hola, chociaż mam tylko 35° C, to jeszcze nie czas na mnie. Zresztą wrona po chwili odleciała, jakby wyczuła moje myśli. I dalej trwa ten ruch na wierzbie...

O godzinie szesnastej jak co dnia zimowego zapala się lampa i przez zasłonę gałązek mruga na mnie jak gwiazdka, dając znać, że znów objęła swą nocną straż. Ruch pomału w gałązkach zanika, bo robi się już ciemno.

Po nowym roku Spółdzielnia zamierza wyciąć wierzbę, bo stoi na drodze pożarowej.

W kwietniu 2011 okaleczono wierzbę, obcinając jej ramiona. W czerwcu – okryła się na nowo liśćmi-włosami i już nie jest taka okaleczona, a we wrześniu – ma znów długie warkocze, lecz już nie tak obfite jak poprzednio.



Agnieszka

Zięba-Dąbrowska

Polska

Spotkanie w Casino de Paris

W drodze do Konstancy, gdy wysiadłam z autokaru na jednej ze stacji benzynowych, uderzyło mnie gorące powietrze, wibrujące jakby w burzy piaskowej. To było zwiastunem, że Morze Czarne jest bardzo blisko. Z każdą chwilą moje podniecenie rosło. Wpatrywałam się w pagórkowaty krajobraz, usiany tysiącem olbrzymich wiatraków, jakbym odpływała coraz dalej i dalej, przenoszona dynamiką ich śmigieł. Wyczuwałam wyjątkowość tej sytuacji i powoli się rozluźniałam.

– Konstanca, miasto portowe – westchnęłam, czując pod stopami rumuńską ziemię. Patrzyłam zauroczona na iskrzące się w słońcu czarno – błękitne, morskie fale. Port robił wrażenie nieruchomej plamy wraz z jego pasażerskimi liniowcami oraz stoczniami pochylniami. Spacer promenadą jeszcze spotęgował ciekawość nowych miejsc. Moim sercem zawładnął budynek kasyna w stylu francuskiej secesji, stojący tuż przy deptaku. Pragnęłam wejść do środka i wciągnąć w siebie zapach dawnego hazardu. Ręka przewodniczki wzniesiona w górę skutecznie ostudziła mój zapał, dając znak, że kasyno jest w remoncie i nie można się do niego dostać.

Pół nocy myślałam o tej budowlu. Wpadłam na pomysł, że nazajutrz nie pójde z resztą grupy, tak jak to miałam w zamyśle, ale pokręcę się wokół obiektu, który rozpalał moją wyobraźnię.

Słońce kąpało mnie w swoich promieniach, niemal zachłannie wsuwając język gorąca pod zwiewną sukienkę. Na placu Owidiusza grupa marynarzy pomachała do mnie. Spojrzałam na kolumnę poety epoki Augusta XLIII w. p.n.e i zamyśliłam się. Czarnomorski port ukazał swoje piękno. By zażyć cienia, wkradłam się za Muzeum Historyczno-Archeologiczne, gdzie z nieukrywaną fascynacją wpatrywałam się w zniszczone

pocałunkiem czasu, często poblakłe pozostałości rzymskiej mozaiki chodnikowej. Ruszyłam w końcu zdecydowanie w kierunku kasyna. Pragnęłam tu być, wyzwalać emocje, które mi towarzyszyły. Podchodząc bliżej budynku, z przykrością zauważyłam, że sporo jest wybitych okien, z których światło dnia szcesywało naleciały kurz. Zerkając do wewnątrz, zdążyłam jeszcze zobaczyć zardzewiałe poręcze, gdy silna, męska ręka chwyciła mnie za ramię.

– Co Pani tu robi? – głos ochroniarza nie brzmiał przyjaźnie.

– Ja tylko... – próbowałam coś wydukać, czując jednocześnie ucisk w gardle. – Jestem pisarką i chciałam opisać kasyno.

Mężczyznę zamurowało. Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

– Ale to szaleństwo – ocknął się po chwili. W środku nic nie ma, poza tym może to grozić wypadkiem.

Nie bacząc na jego argumenty, zaczęłam forsować swój pomysł.

– Bardzo proszę, obiecuję, że jeśli pan pozwoli, uczynię z pana bohatera jednej z moich książek. Ochroniarz naprężył muskuły, uśmiechając się od ucha do ucha, po czym, odchrząknąwszy, stwierdził. – Na urok pięknej kobiety nie ma rady, niedługo kończę zmianę, więc trzeba się pośpieszyć.

Dając znak, że będę posłuszna jego prośbie, chwyciłam powoli za metalową klamkę i znalazłam w innym świecie. Wewnątrz zaskoczyła mnie duża przestrzeń. Prawie puste i dojmująco opustoszałe sale. Magia zaczęła działać. Podeszłam do okna w kształcie muszli mieniącej się tysiącem odcieni Morza Czarnego.

– Jak było tu kiedyś? – zastanawiałam się, a wyobraźnia podsuwała mi czarę rozkoszy zmysłowych. Ogromny, ciężki żyrandol z białego szkła znajdował się nad schodami prowadzącymi na pierwsze piętro. Krzesło z bordowym obiciem w drobne kwiatki, rzucone w kąt sali jęczało swoją historią. Zdjęłam buty i pozwoliłam, aby stopy nieco odpoczęły na dywaniku zdobionym w czerwono-żółto-brązowe bukiety roślin wijących się w szlaczki i różne zakrętasy.

Wszędzie widoczne było odpryskiwanie farby ze ścian, a to pomarańczowej jak tej z deseniem. Resztki deszczulek poniewierały się w od dawna zimnym kominku. Zaczął przepełniać mnie żal, że tak wielkiej klasy zabytkowy obiekt niszczeje. Dotknęłam dłonią części witrażu w odcieniach fioleto, złota i błękitu przedstawiającego kadłub statku. Delikatna faktura szkła świadczyła o mistrzowskiej ręce jego wykonawcy.

Przechadzając się po opuszczonych pomieszczeniach, zerkając w lustro i miałam wrażenie, że duchy przeszłości wciąż są tutaj obecne. Pewna dama w środku zwierciadła zaśmiała się szyderczo z mojego wyglądu:

– Powiedz, co robisz w tym miejscu, tak dziwnie ubrana? – Rzeczywiście, spjrzałam na siebie. Ubiór XXI wieku zupełnie nie przystawał do kreacji pani z początku XX stulecia.

Nagle błysnęło i grzmotnęło. Niebo zakryło się demonicznymi chmurami, uwalniając ołowiane krople deszczu. Burza rozpełtała się na dobre. Straciłam całkowicie poczucie czasu i ani

myślałam wychodzić na zewnątrz. Szukałam tylko bezpiecznego kąta. Zamigotały światła, a ja znalazłam się w sali balowej, nie wiedząc, co się dzieje.

– Przepraszam panią bardzo, ale właśnie umiejscowiła się pani w kadrze kręconego filmu – przestrzeń wokół mnie wyraźnie wibrowała męskim głosem.

– Odwróciłam się powoli, nie dowierzając, że jest tu jeszcze ktoś oprócz mnie. Mężczyzna w czarnym, dobrze skrojonym fraku najpierw się uklonił, a potem poprosił żebym zeszła na bok.

– Nie rozumiem. Jaki film kręcicie? I gdzie są operatorzy kamer, reżyser oraz główni aktorzy? – zdziwiłam się nie na żarty.

– Są ukryci – nieznajomy zbił mnie z tropu.

– Właściwie poszukuję partnerki do głównej roli kobiecej. Może pani chciałaby ją zagrać?

– Czego ma dotyczyć fabuła? – dopytywałam, nie usatysfakcjonowana odpowiedziami nieznajomego.

– Czasów Karola I, króla Rumunii z dynastii Hohenzollernów-Sigmaringenów, a właściwie tego kasyna, którego powstał król zainicjował dla swej ukochanej małżonki i władczyni, Elżbiety – mężczyzna powoli odkrywał plany, kontynuując rozmowę.

– Ja mam na imię Antoine i wcale nie musimy trzymać się scenariusza, a nazwiska nie zdradzę, bo chcę pozostać nieco anonimowy – przedstawił się, wyciągając dłoń na powitanie. Poczułam się w obowiązku również odsłonić rąbka tajemnicy i cichym tembrem głosu oświadczyłam – Edith. Mam na imię Edith.

– Wejdz za kotarę – oświadczył Antoine. Jest tam coś dla ciebie.

Bordowy materiał wiszący nad dawną sceną doskonale mógł służyć za przebieralnię. Wisiała tam dla mnie sukienka wieczorowa, którą obdarzyłam wielką sympatią. Mieniła się srebrnymi nitkami przetykana zielono-brązowym pasemkami.

Do kasyna, swego czasu, ściągająca śmietanka Europy. Często pod ukrytą tożsamością, wytworowi panowie i panie przystępowali do gry incognito. Weszłam wraz Antoinem do jednej z sal hazardowych. Ostry dym tytoniowy wypełniał wnętrze, osadzając się na nieskazitelnych frakach i sukniach. Tu grało się o duże pieniądze. Przez chwilę zgubiłam z oczu Antoina. Było niezwykle gęsto od ludzi.

Stoły do gry w ruletkę stały niemal jedne przy drugich. Jeden z francuzów ogromnie się awanturował, twierdząc, że do salonu wprowadzono tzw. naganiaczy, czyli podstawione osoby, które początkowo, obstawiając małe sumy na oczach gości, z czasem przechodziły do coraz to większej wygranej, aby ostatecznie opuścić salon gier z ogromną liczbą żetonów. Ze wszystkich stron rozległy się gromkie brawa, ludzie bowiem nie sądzili, że zwycięskie sumy i tak wracają do kasyna. Niektóre kobiety lubieżnie przyciskały się do swoich „panów”, szepcząc im do ucha jakieś niemoralne propozycje.

– Proszę spojrzeć – zagadnęła kobieta w ogromnym, kremowym kapeluszu. – Ten młody chłopak z personelu wmawia

temu małżeństwu, że wygrali mniej. Zaraz zacznie manipulować ruletką, tak aby nie udało się im wygrać.

Widząc płeć piękną bez towarzysza, przysadzisty pan w meloniku zdecydowanie chwycił mnie pod rękę i zagadnął:

– Może zagra pani z nami w baka rata? – wskazał na siedzące przy stoliku podejrzanego towarzystwo.

– Lubię karty – odparłam nieśmiało i zaraz tego zaczęłam żałować.

– Doskonale – rzucił jegomość. – Żeby było jasne, o wyniku gry decyduje liczba zdobytych punktów w dwóch lub trzech kartach zliczanych według ustalonych reguł.

– To wolę już chyba black jacka – stwierdziłam po chwili, pukając się w głowę, co ja w ogóle mówię.

– Z przyjemnością spełnimy pani życzenie – zaśmiał się szelmowsko niski mężczyzna, obżerając się przekąskami i sącząc wino z ciemnego szkła.

– Musi Pani pokonać krupiera poprzez uzyskanie sumy jak najbliższej dwudziestu jeden punktów w kartach. Nie może ona jednak przekroczyć tej liczby.

– Czy to jasne? – zaniepokoił się jegomość w meloniku.

– Oczywiście – odrzekłam, błędąc na twarzy. Kiedy już miałam usiąść do gry, Antoine zasłonił mi dłońmi oczy, a moim współtowarzyszom oznajmił:

– Proszę państwa, porywam tę panią. Potem dodał całkiem poważnie.

– Chyba hazard nie leży w twoich zainteresowaniach? – Spojrzałam na niego zdumiona.

– Skąd wie, co lubię? – pomyślałam. – Hazard to adrenalina – wypowiedziałam głośno, tak żeby wyraźnie usłyszał.

– Zapraszam cię do restauracji, a potem na tańce – próbował mnie udobruchać.

– Masz rację – odpowiedziałam. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam głodna. – Najpierw zjemy, bo zapowiada się całonocny bal.

Po wejściu do restauracji zauroczyły mnie fiołkowe ściany, kanapy w kolorze lawendowym, różane obicia krzesel. Wokół świece, świeczniki z mosiądzu i świeczki w kielichach zalotnie igrały światłem i cieniem. Kwiaty prężyły się w wazonach zdobionych w koronkę, co nadawało im wyrafinowany charakter. Zwinni kelnerzy i kelnerki uprzejmie witali gości i zapraszali do wolnych stolików przykrytych śnieżnobiałymi obrusami. Na sam początek powitano nas szampanem. Miło było usiąść na niezwykle wygodnych, różanych krzesłach i patrzeć sobie w oczy. Jednak żołądek domagał się swego.

Nie minęła chwila, gdy przystojny kelner zaserwował danie główne. Schab w sosie kurkowym ze śmietanką z przepysznie smakującymi ziemniaczkami oraz surówką. Nie dało się ukryć, że Antoine wysyłał w moją stronę namiętne sygnały. Obok, w sali balowej o subtelnej, pastelowej kolorystyce wirowały już pary pochłonięte tańcem towarzyskim.

Wkrótce znalazłam się w ramionach Antoina. Świat zawirował. Czy to randka marzeń? Chyba tak, stwierdziłam w przekonaniu. Ogień z kominka uspokajał. Jego magiczne ciepło

rozleniwiło. Czułam się jak w bajce. Stolik nakryty tylko dla nas. Wspaniała atmosfera. Przenikało mnie ciepło Antoina, gdy zbliżał swoją twarz do mojej. I spokój, choć ciało wrzało, pragnąc dotyku i pieścizot.

– Edith – wyszeptał, i otwarło się niebo.

– Szanowni państwo! – rozległ się głos gospodarza balu. Przerywamy, aby powitać małżeństwo Irene i Vernona Castle, dzięki którym taniec przed momentem wykonywany jest tak popularny. Kobiety z zazdrością patrzyły, jak Irene, prowadzona przez męża w numerze popisowym, wykonuje swobodnie figury tanga argentyńskiego.

– Czas na boeuf Strogonowa, gorący gulasz, który będzie okazją do pogawędki – zachęcił Antoine. Rzeczywiście, podczas spożywania posiłku delektowałam się wyjątkowym nastrojem i cieszyłam każdą chwilą. Nasz stolik miał numer cztery i ugiął się od zimnych przekąsek i dodatków. Roladki z łososiem i szpinakiem wyglądały zachęcająco w towarzystwie galaretek, faszerowanych jajek, czy pomidora z mozzarellą i bazylią.

Uśpiona nieco bąbelkami szampana sączyłam przez słomkę wodę mineralną z cytryną i miętą. Ciasto i owoce zostawiłam na później.

Dalej wirowaliśmy w tańcu, nie zważając na późną porę. Korowód ludzkich sylwetek niczym wąż falował po sali, przygarniając do siebie zagubionych partnerów.

– Teraz naprawdę coś specjalnego – oświadczył szef kuchni.

– Łosoś na bukiecie sałat z sosem cytrynowym.

– Brawo! – wyrazili swój aplauz goście.

– Wyborny – oznajmiłam, nabijając na widelec kolejny kęs mięsa.

Zegar nad rzeźbionym kominkiem zatrzymał się na godzinie dwudziestej czwartej. Wszystko sobie przypomniałam. Trzeba wracać, przecież ten biedny ochroniarz za mnie odpowie. – Zaczekaj – dotknął mojej dłoni Antoine, – jeszcze podadzą drożdżowe paszteciki, przecież wiem, że lubisz... Potem cię odprowadzę. Za tymi drzwiami życie jest hazardem. Możesz nie odszukać drogi. – Nie rozumiałam do końca, o co mu chodziło.

– Dobrze – odparłam zamyślona. Pójdę tylko i się przebiorę. Śmiechy i emocje gości powoli się oddalały. Nagle ciemność spowiła wszystko. Światła zgasły. Stare drzwi, na które natrafiłam zgrzytnęły przeraźliwie. Gdy postawiłam nogę za progiem, odezwał się dźwięk blachy. Spojrzałam w olbrzymie okno w kształcie muszli, zarysowaną podłogę i części szkieł. Te same drzwi, którymi weszłam do kasyna, czekały niedomknięte. Wreszcie poczułam uderzenie powietrza.

– To wszystko zdarzyło się tutaj? – pomyślałam. Spojrzałam w gwieździstą noc, a potem na zdewastowane kasyno.

– Antoine – krzyknęłam, lecz słyszałam nie siebie tylko morskie fale. Jakaś postać idąca promenadą ukloniła mi się. Na głowie rozpoznałam koronę królewską. – Karol I? – pomyślałam – niemożliwe, król Rumunii. Chwała mu za kasyno i miłość. – Antoine – powtórzyłam. Został w środku mojej tęsknoty, tańcząc w sali balowej walca z duchami przeszłości.



G i t t a

Rutledge

P o l s k a / U S A

Wenusjanki i Marsjanie

w duecie...
łatwiej pokonywać przeciwności losu
i życiowe znoje...
większość wybiera z pozoru łatwiejsze
niełatwe życie we dwoje

niech panowie
nawet przez moment nie myślą
że ten obiecany raj...to oni nam stworzyli
wprawdzie podjęli próby zdominowania
ale...nie ujarzmili...

płonne ich nadzieje
że bez wypełniania codziennej życiowej pokuty
i ochronnych męskich ramion
wyginiemy... jak mamuty...

tak się nigdy nie stanie
nawet emancypantkom niezrzeszonym
przysługuje własne, niezależne zdanie
a najlepiej...
zakochujmy się odpowiedzialnie

niech na zawsze pokój
pomiędzy Wenusjankami i Marsjanami
zagości!
by nikt nie dogorywał w szermierkach słownych
wynikających...z nieświadomości
zastanówcie się Marsjanie
gdzie Wam będzie lepiej...
niż w małżeńskim stanie ?

no...gdzie?

Jedyny przyjaciel

wczesny poranek zagłada
w prześwity okiennych żaluzji

bolesny krzyk ciszy... wokół

wierny Pegaz trwa przy mnie
wznosząc skrzydła... do lotu

marzę...
by razem
wznieść się w przestworza

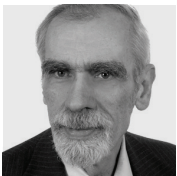
utknęłam w bolesnej ciszy
na samym środku morza...
bez...
najmniejszego powiewu wiatru

już zmrok zapada...
nadal trwa
uporczywy krzyk ciszy... wokół

wierny Pegaz wciąż przy mnie
na pohybel rozkrzyczanej ciszy
jedyny przyjaciel
wzbił się w przestworza,
by pomóc mi... z gracją

ponownie ruszyć do lotu

Poznań, 28 lipca 20177



Henryk
Musa

Polska

Miasto me

Jest nad brzegiem morza
czarowny zakątek pełen uroku
jak brylant na ziemi kaszubskiej
wśród zielonych sosen nadmorskich
biczowanych wiatrem od morza
a w nim ukochane miasto me.

PUCK – miasto mego dzieciństwa i młodości
z nadbrzeżnymi piaskami małym portem
nie ma takiego drugiego
owianego serdeczną i drogą nutą.

Miasta odbicie na srebrnych falach
na horyzoncie z Górą Swarzewską
błyszczą w promieniach słońca
czy błyskach rozewskiej blizy.

W błękicie nieba i Zatoki zew mew
prowadzących swe odwieczne rozhowory
o sobie tylko wiadomych sprawach

A wody Zatoki śpiewają swą
starą – wiecznie młodą pieśń
o tym co się w poezję zamienia
a w duszy rodzi wspomnienia

Miasto mój

Je nad sztrąda mórza
czarowny zakątek ful uróde
jakno brélant na zemi kaszëbszci
westrzód zelonych chójków nadmórszczich
biczowanych wiatrą od mórza
A w nim lubiony miasto moji

PUCK – miasto mego dząctwa i młodosce
ze sztrądowemi piaskama mołym pórtą
nima taczigo dredzigo
owiónym serdeczną dargą nótą

Miasta odbicy na strzebnych dënégach
na widniku z górą Swarzewską
blisko w promiszkach słonýszka
cze łyskani rozewszci blize

W modrósce nieba ziw czirków
prowadzących swoji odwieczni rozhowore
o sobie blus znónych sprowach

A wodë Wikú spiwają swojà
storą – wieczno młodą piesn
o tim co so w poezjo zamiéniwo
a w deszi rodzy wspominczi

3 sierpnia 2017

Kącik turystyczny

Miejsca znane i nieznanne

Pałac w Mosznej



Krystyna Potocka-Wolak

Polska

Któż z nas w dzieciństwie nie marzył, żeby zostać księżniczką lub księciem, mieszkać w pięknym pałacu i przechadzać się po pięknym parku z ogromną fontanną i niezliczoną ilością kwitnących rododendronów i azalii? W głowie większości z nas pojawiło się takie

marzenie, jednak rzeczywistość i dorosłe życie zepchnęły je w kąt. Dlatego teraz chcę Państwa zabrać do bajkowej krainy, do pięknego pałacu niczym ze snu. Jest to pałac w Mosznej w województwie opolskim, gdzie gościłam kilka razy. Jak głosi jedna z legend, Moszna w średniowieczu

należała do zakonu Templariuszy. Aby nasycić się jego pięknem, ponownie odwiedziłam to „bajkowe piękno” pod koniec lipca bieżącego roku.

Pierwotny gmach pałacu powstał w połowie XVIII w., jednak strawił go pożar w 1896 roku. Po tragedii



rozpoczęto jego odbudowę według zamysłu Franza Huberta, który był doskonałym pomysłodawcą i budowniczym. 99 wież i 365 okien czynią obiekt jednym z największych i najpiękniejszych w Europie. Całe wnętrze i fakt, że można zobaczyć oryginalne rzeczy właścicieli sprzed ponad 100 lat, robią niesamowite wrażenie. Moją uwagę przykuły schody z drzewa sandałowego, prowadzące na piętro, które były starannie rzeźbione, podobnie jak kasetony na suficie, meble i portale.

Bajkowa architektura to jeszcze nie wszystko. Całe założenia ogrodowo-parkowe okalające pałac zapiera dech w piersiach. Przechadzając się parkiem z kilkusetletnimi dębami i lipami możemy powrócić do bajkowej krainy. Po obu stronach piaszczystej alejki można podziwiać barwne i wonne azalie oraz rododendrony. Po kilkuminutowym spacerze możemy dotrzeć na zabytkowy cmentarz rodziny von Tiele-Winckler z Miechowic.

Po II wojnie światowej opuszczony pałac pełnił różne funkcje. W jego murach znajdował się między innymi szpital oraz sanatorium. Obecnie w gmachu znajduje się do dyspozycji gości hotel, restauracja i muzeum. Słowami nie da się oddać uroku i magii tego cudownego miejsca. Trzeba samemu odwiedzić i przekonać się, jak piękne zakątki i zabytki skrywa nasza Ojczyzna, do czego serdecznie Państwa zapraszam.



Źródła fotografii, kolejno od s. 30:

https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Moszna_z_lotu_ptaka.jpg, fot. Marcin Słyk Poczłtówka. https://pl.wikipedia.org/wiki/Pa%C5%82ac_w_Mosnej#/media/File:Schloss_Moschen.jpg.

File:Zamek_Moszna_-_wschodnie_skrzyd%C5%82o.jpg, fot. Jacek Halicki.

https://commons.wikimedia.org/wiki/1_GNU_Free_Documentation_License https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Moschen_garten2.jpg.

Obyś cudze dzieci uczył... i nie pękł ze śmiechu

Przez kilkadziesiąt lat Polska nie pokazywała się na mapie, bo była rozebrana.

*

Działalność tajnych związków kończyła się ścinaniem członków.

*

Gaudenty wziął kropidło, zakropił mu oczy i członkiem uderzył w czoło.

*

Krzyżacy mordowali, palili i gwałcili starców, kobiety i dzieci.

*

Emilia Plater była pułkownikiem o kobiecych piersiach widocznych spod munduru.

*

Kajetan Koźmian przez 25 lat gładził swój język.

*

Hanka i Wasylek kochali się tak bardzo, że ona się utopiła, a on umarł z głodu.

*

Jagna na szczęście nie była długo chora, wkrótce zmarła.

*

Liczne wypadki spowodowane są także przez dzieci. Te ostatnie powstają przez niedbalstwo, nieostrożność lub podczas zabawy.

*

Lis był chytry a pod spodem biały.

*

Krasicki zawsze wesoły i uśmiechnięty zmarł w roku 1801.

*

Na skutek żałoby swojej matki Iwona urodziła się 5 lat po śmierci ojca.

*

Obok grobów smutnych i zaniedbanych stały groby tętniące życiem.

*

Ludzie pierwotni mieli narządy z kamienia.

*

Zwyczaj opalania się na plaży pochodzi z epoki brązu.

*

Jednym z nałogów szlacheckich w XVIII wieku było pijaństwo, któremu Krasicki poświęcił wiele czasu i wysiłku.

*

Dziadek był kawalerzystą, bo nie mógł znaleźć panny.

*

Wiersze, które pisała Konopnicka, przedstawiały obraz nędzy i rozpacz.

*

Bogurodzica była napisana w języku polskim po łacinie.

*

Już przed ślubem Jagna miała liczne upadki moralne.

*

Straszne były te krzyżackie mordy.

*

Dzieci nie miały od dawna w ustach bochenka chleba.

*

Andrzej nie miał taty, więc zajmował się nim ojciec.

*

Bił swoją żonę, z którą miał dzieci przy pomocy sznurka.

*

Kolumb zobaczył u nagich Indian wisiorki ze szczerzego złota.

*

Kochali się do utraty tchu, lecz bez wzajemności.

Wybrała Krystyna Potocka-Wolak

